

WAMANA

LUBLIN 10 II 1974 Nr 3 (541)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

ALARM W SPRAWIE KSIĘGARSTWA

Maciej Podgórski

JAK twierdzi Maciej Iwanowski („Polityka” 1974, nr 2) — „już za czasów Komisji Edukacji Narodowej ksiądz Onufry Kopczyński zauważył, że choć bywa, iż ludzie książek nie czytają, bo książki ich nie interesują, to bywa też (i częściej), że ludzi książki nie interesują, bo skąd je wziąć?” Zdaniem publicysty „Polityki” — sytuacja ta posiada niejako odniesienia do polskiej współczesności. I otóż twierdzą, iż nie jest tak źle. Bo choć często nie ma książek skąd brać ze względu na niedostateczną sieć księgarń w Polsce, to jednak książki ludzi interesują, bo ludzie się przyzwyczaili, że w książkach mądrość jest niedroga i dla wszystkich dostępna.

Oto do Domu Książki w Lublinie przychodzą z całej Polski listy od osób potrzebujących. „Nie mogłam kupić książki, która by zawierała informacje o termicznej metodzie regulacji poczęć” — skarży się pewna pani. Wywiązała się potem mnoga korespondencja. Zaoferowano niewiele wszystkie dostępne pozycje z dziedziny regulacji urodzeń, ale jej chodziło o regulację termiczną i na razie musiała się zadowolić informacją, iż książka Fijałkowskiego „Biologiczny rytm płodności a regulacja urodzeń” jest wprawdzie wyczerpana, lecz w roku 1974 zostanie wznowiona. Pisze młoda kobieta z PGR, że chciałaby nabyć książkę kucharską, bo wyszła za mąż, a zgoda w małżeństwie zależy od dobrego gotowania. Pisze starszy pan z wsi w Poznańskim:

Dokończenie na str. 4—5

PARYŻ ZA 110 DOLARÓW

Maria Bechczyc-Rudnicka str. 10

CZY KAZIMIERZ
POZOSTANIE SZCZERBATY?

Jerzy Dostatni str. 3



Fot. W. Stępień

DNIA 15 czerwca 1945 roku w budynku przy ul. Spokojnej 5 (dziś 22 Lipca) otwarto wystawę plastyków lubelskich. Maria Wolska-Berezowska pokazała obrazy świętych, a Zbigniew Lengren — kredkowe rysunki „Bramy Grodzkiej”, „Śpiącego dziecka” i kościelnego wnętrza. Dopiero po latach Lengren przerzucił się na profesora Filutka, kpiąc przy okazji z pewnych przejawów sztuki nowoczesnej. Wystawa ta ciekawi jednak z innego względu. Otóż na liście jej ówczesnych protektorów znajdujemy nazwiska Stanisława Czugały, przewodniczącego WRN, i Tadeusza Kadury, prezydenta miasta. Obie osobistości uznają za pożyteczne patronować imprezie artystycznej, o czym nie omieszkało powiadomić publiczności i czytelników gazet lubelskich.

Z całą pewnością można powiedzieć, że takie stanowisko przedstawicieli władzy zyskiwało uznanie społeczne, podnosząc zarazem autorytet artystów. Jest to przykład jednego z nielicznych w

Fochy, fuchy i szczypta optymizmu

Ireneusz J. Kamiński

świecie interesów, na którym nikt nie traci. Owszem, przewodniczący i prezydent, a także wojewoda lubelski dowódca O. W. Lublin oraz kurator okręgu szkolnego ufundowali nagrody, ale przecież środki na ten cel przeznaczone nie zrujnowały skarbu państwa Fundatorzy, jak widać, reprezentowali bardzo różne instytucje, co w konfrontacji ze współczesnością lubelską nieco zadziwia. A już zupełnie nie wiem, jak zareagować na to, że wśród tych wysoko postawionych osobistości znalazł się również starosta powiatowy w Krasnymstawie, który także ustanowił nagrodę. Krasnymstaw to niewielki powiat, nie ma o czym dziś mówić ale tradycję miasto posiada piękną.

Instytucja protektoratu nie upadła w latach późniejszych, można nawet powiedzieć że rozwinęła się wszczepiając nazwę „komitetu honorowego”, rozrosła się do kilkunastu, a bywało, że do

Dokończenie na str. 4

W CIĄGU jednego tygodnia tworzymy dziś dochód narodowy wartości 25 miliardów zł; wartość produkcji przemysłowej wynosi blisko 35 mld złotych, zaś towarów na rynek — około 15 mld złotych.

Te liczby mają swoją wymowę. Polska 1974 roku należy do najszybciej rozwijających się państw świata. Polityka zapoczątkowana VII i VIII Plenum KC naszej partii, zdaje egzamin.

Oczywiście produkcja jest sprawą podstawową. Ale właśnie dynamiczny rozwój gospodarki pozwala poprawić warunki materialne, socjalne i kulturalne życia ludności.

Pierwotnie przewidywano, że w ciągu całego pięcioletnia 1971—1975 podwyżki płac miały osiągnąć około 4,6 mln osób. Rychło okazało się jednak, że liczbę można zawyżyć. Ostatecznie podwyżkami płac z tytułu ich regulacji objęto ok. 6,4 mln osób. I obecnie stawiamy kolejne zadanie: do końca bieżącej pięcioletki podwyżki otrzymają wszyscy zatrudnieni, a więc pozostałe kilka milionów osób.

Szczegółowy program w tej sprawie, zaaprobowany przez XII Plenum KC PZPR i zatwierdzony przez Sejm, daleko wykracza poza ustalone pierwotnie założenia VI Zjazdu naszej partii. Uchwala VI Zjazdu stwierdzała, że w 1975 r. wzrost średniej płacy realnej wyniesie 18 proc. w stosunku do roku 1970, tymczasem już obecnie osiągnięliśmy wzrost średniej płacy wyższy o prawie jedną czwartą. Oznaczało to, że w latach 1971—1973 średnioroczne tempo wzrostu przeciętnej płacy realnej było prawie czterokrotnie szybsze niż w ubiegłej pięcioletce i wynosiło 7,6 procenta.

Nigdy jeszcze dotąd wzrost produkcji nie był tak ściśle powiązany ze wzrostem zarobków ogółu ludności. Nigdy jeszcze dotąd sama produkcja nie służyła tak bezpośrednio w zaspokajaniu potrzeb obywateli.

To są truizmy ale przecież warto i trzeba podkreślić, iż priorytet uzyska-

ła produkcja rynkowa i te inwestycje, które służą jej zwiększaniu. Budownictwo mieszkaniowe, przemysł temu budownictwu podporządkowany, różnego typu inwestycje nieprodukcyjne, ale jakże potrzebne!

Zwrócono uwagę na terminowe i przedterminowe przekazywanie do użytku nowych obiektów i szybkie uzyskiwanie przez nie pełnej mocy produkcyjnej. Nie obawiano się przy tym znacznie szerzej korzystać z kredytów zagranicznych, kredytów inwe-

stycyjnych. Uruchomione w ten sposób nowe zakłady własną produkcją spłacają zaciągnięte długi.

Wykorzystana szansa

stycyjnych. Uruchomione w ten sposób nowe zakłady własną produkcją spłacają zaciągnięte długi.

Nasz handel zagraniczny podwoił swoje wysiłki. Znaczenie wzrósł zarówno import jak i eksport, stanowiący cenne uzupełnienie naszego rynku. Kiedy spojrzą się w „Delikatessach” na różne gatunki kawy, aż trudno uwierzyć, że w 1970 roku obowiązywały tak drakońskie restrykcje importowe. Oczywiście kawa jest tu tylko drobną ilustracją zmian w sposobie myślenia nowego kierownictwa.

Z kolei zwiększenie na rynku różnego rodzaju odzieży importowanej musiało silną rzeczą pozytywnie oddziaływać na rodzimych producentów. Wraz ze wzrostem stopy życiowej wzrastają wymagania konsumentów; buble stają

się marnotrawstwem i czasem pracy i materiałów. Bolesnie przekonała się o tym na własnym przykładzie chociażby załoga „Traweny” z Trawnika.

Konkurencja, w dobrym tego słowa znaczeniu, także w kraju socjalistycznym może i powinna istnieć. Produkt nowy, wartościowy, choć sprzedawany po wyższej cenie, szybciej znajdzie nabywców. Liczy się pomysł, liczy się inwencja. Dobry towar musi wypierać towary złe czy gorszej jakości. Zakład, który odstaje, musi się

podciągnąć, bo w przeciwnym razie może to się odbić na zarobkach, na premiach całej załogi, rozszerzyć fluktuację kadr.

To przemysł, a rolnictwo? I tutaj wzrost produkcji jest obecnie bardzo mocno związany ze zwiększaniem się zamożności wsi. Rząd przygotował już bądź przygotowuje cały zespół decyzji mających na celu lepsze zaopatrzenie rolników zarówno w maszyny jak i materiały budowlane, a także udoskonalenie ekonomicznych warunków produkcji bydła i produkcji roślinnej — buraków cukrowych, rzepaku i niektórych innych roślin przemysłowych. Zmieniono również w sensie pozytywnym system rent dla rolników, którzy z uwagi na wiek przekazują swe gospodarstwa państwu.

Nie sposób w krótkim materiale wy-czerpać wszystkich zagadnień, które były przedmiotem obrad XII Plenum KC i ostatniej sesji sejmowej.

Zamierzenia są poważne i nie dziwnego, że to, co chcemy wygospodarować, nie wystarczy jeszcze w pełni na realizację śmiałego programu. Trzeba więc było dokonać pewnych posunięć związanych z redystrybucją dochodów narodowego; podwyższono ceny na produkty naftowe — co zresztą wiąże się z trudnościami na międzynarodowym rynku paliw — na alkohol oraz zwiększono marżę gastronomiczną. Licząc się jednak z budżetami rodzin mniej zarabiających nie podniesiono marż w barach mlecznych i stolówkach. Nie wzrosły również ceny miesięcznych biletów pracowniczych i szkolnych, a także ceny biletów w komunikacji miejskiej. Utrzymano też — a to jest sprawa zasadnicza — ceny na podstawowe artykuły żywnościowe. Na forum Sejmu premier Piotr Jaroszewicz z całą mocą podkreślił, że prowadząc słuszną politykę cen nowości, rząd będzie konsekwentnie zwalczał wszelkie przejawy nadużyć czy nieprawidłowych posunięć producentów przy ustalaniu wyższych cen na towary nie odpowiadające kryteriom nowości.

Od VII Plenum KC, które nadało takiego przyspieszenia naszej gospodarce, minęły zaledwie trzy lata. Jakże to krótki okres w ponad tysiącletniej historii naszego narodu! A jednak te trzy lata — to potężny zastrzyk optymizmu.

Spółeczeństwo polskie jest młode, jest twórcze, a w chwilach przełomowych zdaje egzamin odpowiedzialności. Ale to społeczeństwo, jak zresztą każde, pragnie zarówno dawać jak i brać, żyć pełniej i rozumniej, żyć bogaciej. Myśli zarówno o Polsce jutrzejszej, jak i o Polsce dzisiejszej. Polskę dzisiejszą budujemy od 1944 roku, Polskę jutrzejszą — budujemy dzisiaj. Szansa, jaką otworzyła przed nami historia, nie zmarnowaliśmy.

W którym żyjemy

„CHCESZ SIĘ ZAĆPAĆ?”

W PRASIE zachodniemieckiej spadła liczba informacji na temat narkomanii w NRF, co wcale nie oznacza, że problem stracił na ostrości. Oblicza się, że liczba osób uzależnionych całkowicie od narkotyków wynosi w tym kraju ok. 15 tysięcy, wszyscy w wieku między 13 (!) a 30 rokiem życia.

Bohater reportażu zamieszczonego w „Deutsche Zeitung” przedstawia swój pierwszy stopień wtajemniczenia: „Odbyło się to w kręgu przyjaciół. Udzielili mi noclegu. Później powiedzieli: robimy seans, chcesz się zaćpać? Zrobiłem sobie zastrzyk. Piękne było to, że kiedy dokonałem iniekcji wszyscy wzięliśmy się w ramiona i wówczas stwierdzili: teraz należysz do klubu narkomanów. Głęboko odczułem, że wreszcie gdzie należę. Przedtem byłem sam. Nagle poczułem, że jestem związany nie tylko z narkotykami, ale należę także do ludzi, do grona narkomanów”.

Spotkany po trzech latach w Amsterdamie ów bohater miał już za sobą typową dla narkomanów „karierę”. Wielokrotne nieudane próby odwyku, włamania do aptek, późniejszy znów handel narkotykami, więzienie, powrót na „scenę”, załamanie psychiczne, ukrywanie się przed policją, ucieczki itp. W ciągu tego czasu coraz większe rozczarowanie: „Przyjaciele nie pomogli, kiedy byłem w bagnie, robili unikni w obawie, że mogą ich o coś prosić”.

Ostatecznie w danym wypadku pomogła kuracja odwykowa, ale był to wyjątkowo szczęśliwy wypadek.

Policja konfiskuje narkotyki. W 1972 r. skonfiskowała m.in. 6 114 kg haszyszu i marihuany, 163 kg morfiny, 47 kg opium, ale te dane nie mówią o faktycznej ilości tych środków znajdujących się na rynku, bowiem wzmocnionym wysiłkiem policji odpowiada coraz większa precyzja i coraz bardziej wyrafinowane triki handlarzy narkotykami. W Federalnym Urzędzie Kryminalnym stwierdza się otwarcie: „Możemy oceniać tylko to, co sami widzimy. Tak naprawdę nie wiemy, czy zjawisko narkomanii wzrasta, czy też maleje”.

A warto tu dodać, że młodzi narkomani w NRF narkotyzują się nie tylko „tradycyjnymi” narkotykami z Dalekiego Wschodu, ale używają także

różnych środków pobudzających, uspokajających czy nawet nasennych rodzimej produkcji.

W bieżącym roku na walkę z narkomanią rząd NRF przeznaczył 30 milionów marek. Jak dotąd jednak, 99 proc. ludzi poddających się kuracji odwykowej w szpitalach i klinikach ponownie wraca do swego nałogu.

O CZYM ZAPOMINAJĄ?

I NTERESUJĄCE rozważania snuje węgierski dziennik, organ KC WSPR, „Nepszabadsag”. Z życia publicznego — stwierdza pismo — nie znikły jeszcze w pełni złe tradycje z przeszłości, nadal działają przestarzałe normy moralne. Na zmianę tej sytuacji nie wystarczyło 30 lat. I nie dziwnego, bowiem socjalistyczne wychowanie człowieka jest zadaniem pokoleń. Wśród socjalistycznych warunków żywe są jeszcze i działają mechanizmy ukasztowane w rodzinnym domu. Zdarza się np., że dziecko co innego widzi i słyszy w szkole, a co innego — w domu.

Dzieje się tak dlatego, że ludzie obejmując kierownicze stanowiska skłonni są rychło zapomnieć o obowiązkach wobec towarzyszy, wobec podwładnych, zapominają o moralno-humanistycznej postawie. Wielu wciąż jeszcze uważa, iż pełniąc kierownicze stanowiska można sobie pozwolić na wszystko. I dlatego właśnie istnieją takie zakłady i miejsca pracy, gdzie kierownictwo nie chce słuchać odmiennych od własnych opinii, gdzie tylko rozkazują, za nie mając wniosków i postulatów pracowników. Ale niejednokrotnie zdarza się, że sami pracownicy stawiają przed sobą „mur zakazu” i nie wypowiadają swych opinii, tego, co leży im na sercu, mimo istniejących ku temu okazji. Nie mówią, bo „coś ich wstrzymuje”. A to „coś” to może być uległość wobec kierownictwa, chęć zaszczerbiać sobie w ten sposób „lask”, może to wynikać z tchórzostwa bądź obojętności!

Dziennik węgierski piętnuje objawy kumoterstwa, protekcji, wykorzystywania stosunków rodzinnych dla uzyskania np. intratnej posady i podkreśla, że zasada „nie otwieraj ust — nie będzie cię boleć głowa” nie znajduje w społeczeństwie socjalistycznym żadnego uzasadnienia moralnego czy też merytorycznego. Obecna jest ona ideom partii, ideom socjalizmu. Ludzie powinni mieć odwagę wypowiadać swą opinię o wszystkim wobec wszystkich i na każdym forum, niezależnie od tego, jaką pełnią funkcję.

PRYWATNI DETEKTYWI

NA ten temat pisze tygodnik „Nowe Cza-sy”. Słowo „prywatny detektyw” czy też „prywatna policja” można spotkać na Zachodzie nie tylko na ogłoszeniowych kolumnach gazet i czasopiśmie. W grubej księdze — oficjalnym francuskim kodeksie pracy — w spisie zawodów pod numerem 595 figuruje „prywatny detektyw”, zaś pod numerem 596 „prywatny policjant”. Prywatni detektywi czy policjanci, stwierdzono w tej księdze, zajmują się ochroną ludzi i majątku, prowadzą inwigilację i obserwację, mogą nosić mundur, poruszają się pieszo, na rowerze, samochodem. Zawód zalicza się do kategorii handlowych, mówią ściąślej — wolnych. Noszenie broni palnej — czytamy w zakończeniu tego fragmentu — zakazane jest we wszystkich przypadkach.

Jakie są najczęstsze motywy zwracania się do prywatnych agencji śledczych? Okazuje się, że niewierność małżeńska, zdrada. Ma to swoje uzasadnienie. We Francji trudno uzyskać rozwód, zwłaszcza gdy jeden z małżonków nie wyraża na to zgody. Ponadto rozwód bardzo dużo kosztuje stronę „winną”, czyli tego, kto musi ponieść koszty sądowe. Co zaś najważniejsze — w sprawie rozwodowej za każdym razem wyłania się złożona kwestia podziału majątku. Zaś złamanie wierności małżeńskiej, jeśli zostanie potwierdzone przez świadków, jest wystarczające dla wytoczenia sprawy rozwodowej i nawet dla ściągania sądowego. Na detektywów spada więc nie najłatwiejsze i nie najprzyjemniejsze zadanie — zastać niewiernego lub niewierną „in flagrante”.

Z usług detektywów prywatnych korzystają też towarzystwa ubezpieczeniowe, które zlecają im zbadanie spraw wątpliwych, związanych z wypłatą premii ubezpieczeniowych.

W ostatnich latach policja prywatna coraz częściej prowadzi obserwacje i śledztwa w gospodarce, finansach, handlu, uprawia kontrwywiad przemysłowy.

Np. wykrywanie „kukulczych jaj”. Właściciel czy menager przedsiębiorstwa wybiera jednego ze swych zaufanych pracowników i proponuje mu zwolnienie z zachowaniem pełnego uposażenia. Ma on teraz za zadanie wkroczyć do konkurencyjnej firmy. W razie sukcesu taki człowiek może doprowadzić towarzystwo do kompletnej ruiny.

Innym stałym „obiektem” uwagi detektywów jest personel przedsiębiorstw prywatnych. Agenci angażuje się do pilnowania tajemnic firmy, do badania nieszczęśliwych wypadków, demaskowania złodziejstwa, a także wyjaśniania personalii zaangażowanych robotników.

TROCHE cichcem w hallu Puławskiej Spółdzielni Mieszkaniowej eksponowano małą wystawkę, która na dobrą sprawę powinna objechać pół Polski, a w każdym razie stać się przedmiotem kilku zarówno publicznych jak i fachowych dyskusji. Złe bowiem się stanie, jeżeli te dyskusje rozpoczną się dopiero wtedy, gdy to, co na owej wystawce eksponowano, zacznie się realizować na Kwaskowej Górze w Kazimierzu Dolnym. Wystawka bowiem obejmuje dwie makiety oraz kilka planów z rzutami pionowymi i poziomymi spółdzielczego osiedla mieszkaniowego, którego budowę proponuje się właśnie na owej Kwaskowej Górze. Dla ścisłości trzeba dodać, że makiety i plany poprzednio eksponowano w muzeum kazimierskim, ale — po pierwsze — tylko przez dziesięć dni, po drugie zaś w okresie pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a Trzech Króli. A więc wtedy, gdy mieszkańcy Kazimierza, jak wszyscy inni, zajęci byli zupełnie innymi sprawami. Wystawy więc w Kazimierzu prawie nikt nie widział, w Puławach zaś do lokalu PSM nie przychodzi zbyt wielu interesantów.

Makiety i plany są wynikiem mini-konkursu, ogłoszonego przez Oddział Lubelskiej Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego przy współpracy Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich. Nie był to konkurs w normalnym znaczeniu tego słowa, po prostu inicjatorzy zwrócili się do trzech spółdzielczych biur projektowych „Inwestprojekt” z propozycją opracowania przestrzennego, kompozycyjnego i funkcjonalnego osiedla mieszkaniowego w tym szczególnie zabytkowym mieście, a także o zaprojektowanie rozwiązań architektonicznych zaproponowanych do budowy obiektów.

Nowe budynki, które po wojnie wybudowano w Kazimierzu legalnie, można policzyć na palcach. Nielegalnych było chyba więcej i teraz wszyscy mają z nimi kłopot. Te legalne też nie przyniosły chwały ani projektantom, ani wykonawcom. Z drugiej strony faktem jest, że cokolwiek wybuduje się w Kazimierzu, a nawet tylko zapropONUJE się do wybudowania, niezmiennie wywołuje burzliwe dyskusje, aby nie powiedzieć — sprzeczki. Nie od dziś bowiem krzyżują się tu poglądy i interesy historyków sztuki, architektów, malarzy, zwykłych miłośników tego miasta, ale także miejscowych i rozsiadanych po całej Polsce właścicieli i współwłaścicieli domków oraz nie zabudowanych jeszcze działek. Jednym rzeczywiście chodzi o utrzymanie piękna tego miasta, innym całkiem po prostu tylko o utrzymanie, a w razie możliwości i zwiększenie własnych dochodów.

W tej sytuacji uzyskanie dla jakiegoś projektu powszechnej akceptacji wydaje się iluzją. Przekonał się o tym w codziennym życiu także mgr Jerzy Zurawski, dyrektor Muzeum w Kazimierzu i konserwator tego miasta. Jak pamiętamy, przed niemal dwoma laty doprowadził on do unieważnienia opracowanego pod różnymi naciskami i niezłymi normatywnymi planu szczegółowego zagospodarowania miasta. Dziś okazuje się, że część mieszkańców ma do niego pretensje, iż tuż obok rynku nie powstało centrum handlowo-usługowe, że dojazd do śródmieścia będzie utrudniony, że nie będzie tu wielkich domów wczasowych...

Pamiętając o burzliwych dyskusjach na temat przyszłego kształtu Kazimierza, oddział CZSBM nie zgodził się, aby projekt osiedla mieszkaniowego był opracowany, jak to się dzieje normalnie, przez jedno biuro projektowe. Zwrócił się więc do trzech „Inwestprojektów” — w Lublinie, Warszawie i Katowicach — aby przedstawiły one swoje propozycje, które miały stanowić alternatywę dla przyszłej realizacji. Niestety, architekci warszawscy z zaproszenia nie skorzystali. Może odegrała tu rolę stosunkowo niska suma, przeznaczona na nagrody, może niechęć do angażowania się w rozwiązywanie problemu, który znacznie lepiej i efektywniej można krytykować...

Tak więc sąd konkursowy miał do wyboru tylko dwie możliwości, co jednak — jeżeli wierzyć zakulisowym ploteczkom — wcale mu pracy nie ułatwiło, jako że oba projekty zyskały wysoką ocenę i na wybór nie było się łatwo zdecydować. Ostatecznie pierwsze miejsce przyznano projektowi z katowickiego „Inwestprojektu”, opracowanemu przez zespół architektów: Ryszarda Jurkowskiego, Krystiana Laska, Jana Skrzyпка i Grzegorza Uniejewskiego. Makiety wykonał technik Zygmunt Knoś. W skład 9-osobowego jury weszli: z-ca architekta wojewódzkiego mgr inż. K. Majewski, konserwator wojewódzki mgr M. Kurzątkowski, sędziowie kolegielni SARP mgr inż. J. Gągała i mgr inż. J. Zochowski, kierownik pracowni architektonicznej z Puław mgr inż. J. Szczepiński, dyrektor Muzeum Kazimierza i konserwator tego miasta mgr J. Zurawski, kierownik pracowni architektonicznej przy Muzeum w Kazimierzu mgr inż. J. Kowarski oraz przedstawiciele CZSBM z centrali warszawskiej i oddziału lubelskiego. Jak widać — skład reprezentatywny spośród ludzi, którym dobro Kazimierza rzeczywiście leży na sercu.

Z opinii nagrodzonej pracy przytoczymy najistotniejsze elementy: *Rozwiązanie układu przestrzennego całości prawidłowe w krajobrazie... Pasmowy układ zespołów zabudowy zgodny z tradycjami Kazimierza, odpowiada mieszkaniowym warunkom mikroklimatycznym oraz stwarza korzystne perspektywy widokowe. Bardzo dobre rozwiązanie komunikacji... Proponowane rozwiązanie architektoniczne, polegające na uformowaniu zespołów wokół dziedzińców, oparte o wspólną zasadę przy jednoczesnym zróżnicowaniu każdego zespołu, daje właściwą skalę i nastrój zabudowy... Przykładowo przedstawione rzuty nie w pełni zadowalają potrzeby użytkowe pod względem funkcji jak i różnorodności rozwiązań... Przyjęta zasada zapewnia jednak elastyczność... Proponowana tradycyjna technologia wyko-*

naostwa przy tej skali osiedla nie budzi zastrzeżeń...

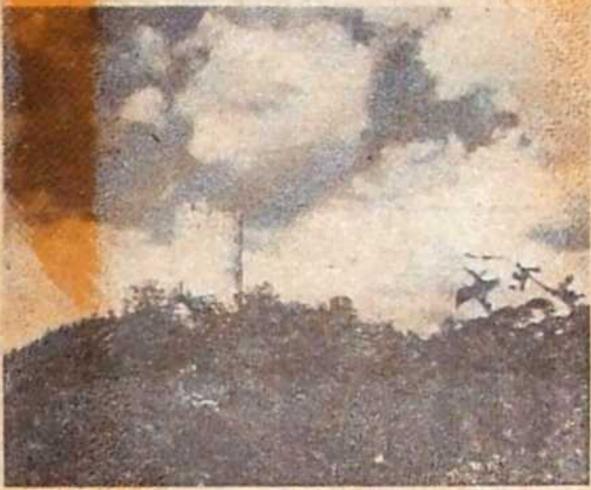
Jak więc wygląda proponowane osiedle? Składa się ono z czterech par budynków, ukształtowanych wokół podwórek o wymiarach 15x13 m, tworzących jakby centrum więzi sąsiedzkiej przyszłych lokatorów. Wysokość budynków 1,5—2,5 kondygnacji, dojście na wyższe kondygnacje schodami i galerijkami. Architektura zewnętrzna domków jednolita materiałowo i kolorystycznie, wewnętrzna dowolna. Każde mieszkanie rozkładowe, z loggią lub balkonem, z zewnątrz domu małe ogródki obramowane kamiennymi murkami, balustrady i poręcze drewniane.

W każdym budynku 24 mieszkania różnej wielkości, z czego połowa M-4 o powierzchni użytkowej 60—61 m², a więc nawet nieco większe niż to przewidują wprowadzone właśnie nowe normatywy. W sumie osiedle będzie posiadało 192 mieszkania, przewidziane dla 680 osób. Gdyby więc szybko je wybudować, mogłoby w nim zamieszkać równo 15 proc. dziesięcioletnich mieszkańców Kazimierza.

Aby uzupełnić obraz projektu dodajmy, że w piwnicach znajdzie się ponad 60 garaży niezależnie

CZY KAZIMIERZ POZOSTANIE SZCZERBATY?

Jerzy Dostatni



od parkingu na 80 samochodów, na poddaszach 8 pracowni artystycznych po 45 m², w każdym budynku mała świetlica oraz 3—4 pokoje dla wczasowiczów lub turystów, którym ma zarządzać administracja spółdzielni. Sklepy spożywcze, punkty usługowe i klub uzupełnią listę pomieszczeń towarzyszących — wszystkie wkomponowane w budynki mieszkalne. Dodajmy jeszcze, że istniejąca na Kwaskowej Górze zabudowa zostanie, że dwuobiektywne zespoły usytuowane są niemal równoległe do Grodarza, a początkiem całej tej dzielnicy będzie zabudowana tuż za końcem ul. Lubelskiej nowa szkoła podstawowa o 24 salach szkolnych, z salą gimnastyczną i pływalnią. Internet istniejącej szkoły i liceum powstanie przy tych budynkach, a nie — jak pierwotnie proponowano — na stoku w pobliżu wejścia do wąwozu Malachowskiego.

Tyle, jeżeli chodzi o najważniejszą propozycję projektu. Czy i kiedy będzie on realizowany — to już druga sprawa. Nie jest też wykluczone, że w dalszej fazie ulegnie on pewnym korektom, a nawet zostanie zaniechany — co zresztą w warunkach Kazimierza nie będzie żadnym ewenementem.

Nie chciałbym udawać, że jestem mądrzejszy od członków jury. Inicjatywę Lubelskiego Oddziału CZSBM uważam za bardzo pożyteczną chociażby dlatego, że pozwala oprzeć dyskusję nie na wydumanych propozycjach, ale na konkretnym projekcie. I dlatego chciałbym postawić kilka pytań pod adresem organizatorów minikonkursu, przyszłego inwestora jak i władz lokalnych.

Naturalnym dążeniem spółdzielczości mieszkaniowej jest budowanie własnych, wyodrębnionych osiedli mieszkaniowych. Budowa takich osiedli jest tańsza i łatwiejsza, dzięki nim tworzy się wspólnota spółdzielcza itd. Ale czy w warunkach Kazimierza takie osiedle jest w tej chwili konieczne? Substancja mieszkaniowa w tym mieście jest wyjątkowo szczerbata, niemal przy każdej ulicy jest wolny plac, czekający na zabudowę plombową. Przy istniejącej lub przewidywanej na najbliższy okres infrastrukturze technicznej budowanie plomb jest bardziej opłacalne, zwłaszcza przy systemie tradycyjnym, który słuszenie dla Kazimierza zaproponowano.

Nikt w Puławach i Kazimierzu nie mógł mi z całą pewnością odpowiedzieć, ilu jest reflektantów na budownictwo spółdzielcze. Jedni mówili, że 50, inni że 75 — i dla nich mieszkania znalazłyby się właśnie w tych budynkach plombowych. Istnieje duże prawdopodobieństwo — przekonywano

mnie — że w ten czy inny sposób zdebedą tam mieszkania także ludzie spoza miasta, dla których będzie to albo tanie mieszkanie na okres wakacji, albo któryś le mieszkańca zajmą tylko fikcyjnie, nastawiając się na ich wynajmowanie wczasowiczom. Czy sito przepisów i miejscowych decyzji okaże się na tyle skuteczne, aby zapobiec podobnym nautyciom?

Jeżeli już zdecydowano się na osiedle, lokalizacja na Kwaskowej Górze wydaje się najbardziej uzasadniona. Ale szkopuł w tym, że studium krajobrazowe Kazimierza — obejmujące zresztą obszar od Nałęczowa do Janowca i od Bochothnicy do Podgórza (za Mięcmierzem), a wykonywane bardzo dokładnie przez prof. Bogdanowskiego z Politechniki Krakowskiej (takie studium to w ogóle nowość w naszym kraju) — otóż to studium będzie gotowe najwcześniej za rok. I co się wtedy okaże — nikt nie wie.

Wciąż także nie ma jeszcze ani ogólnego ani szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego miasta. Stare plany słuszną decyzją Prezydium WRN zostały unieważnione, ale nowe — opracowywane równoległe, co nie należy do nadzwyczajnych prawidłowości — będą gotowe dopiero na koniec roku. Wynika z tego, że porządek rzeczy jest odwrócony, albowiem najpierw powstanie plan, a dopiero potem studium, chociaż powinno być odwrotnie. Prawda, że szereg spraw, m.in. pilne lokalizacje, są uzgadniane na bieżąco pomiędzy autorami planów. Ta odwrócona kolejność nie gwarantuje jednak niemożliwości powstania konfliktów.

A taki właśnie konflikt wydaje się zagrażać podstawowej koncepcji lokalizacji osiedla. Jak pamiętamy, dojazd samochodami do Kazimierza ma być zamknięty. Od rozpoczynanej właśnie obwodnicy, biegnącej z rejonu Bochothnicy do drogi na Opole, mają powstać trzy tzw. siegiacze, czyli dojazdy do granic miasta, zakończone parkingami. I właśnie jeden z takich siegiaczy miał się kończyć w dolinie Grodarza koło Kwaskowej Góry, a więc tuż koło projektowanego osiedla. Można naturalnie rolę tego właśnie siegiacza ograniczyć tylko do dojazdu przy likwidacji parkingu, ale z jednej strony będzie to stanowiło poważne utrudnienie dla turystów, z drugiej — w praktyce i tak zakaz parkowania będzie obchodzony lub po prostu łamany. Wyłania się także trudna kwestia trasy autobusowej. Swięto słyszałem nawet o propozycjach, aby dworzec PKS zlokalizowano na miejscu szklarni w pobliżu rynku. Jest to sugestia nie do przyjęcia.

Całkiem niespodziewanie wyłoniła się ostatnio sprawa ogrzewania osiedla, zresztą całego miasta także. Projektanci osiedla zaproponowali wybudowanie w każdym budynku spółdzielczym małej kotłowni na paliwo płynne. Dziś byłaby to koncepcja bardzo kosztowna. Wybudowanie tradycyjnej kotłowni na węgiel, nawet poza garbem Kwaskowej Góry, oznaczałoby zadymienie całego Kazimierza w związku z przeważającymi tam ruchami powietrza. Ogrzewanie gazowe w związku z ogólnym bilansem tego paliwa też nie wydaje się najlepsze. Inż. Kowarski uważa, że wszystkie domy w Kazimierzu powinny przejść wyłącznie na ogrzewanie elektryczne. To niewątpliwie zapewniłoby mieszkańcom i turystom, a także budynkom, najbardziej czyste powietrze, inżynier zaś twierdzi, że w ostatecznym rachunku byłoby nawet tańsze. Rzecz do przeliczenia nie najłatwiejsza, a do podjęcia decyzji jeszcze trudniejsza.

Jeżeli już mowa o Kazimierzu nie sposób pominąć sprawy interesującej całą Polskę: czy w Kazimierzu powstanie wielki ośrodek wczasowo-wypoczynkowy? Pamiętamy, jakie kontrowersje budził projekt budowy domu wypoczynkowego puławskich Azotów. Dla jednych był to początek nowej ery w historii miasta i może dlatego drogę, prowadzącą od cmentarza do owego na szczęście nie wybudowanego ośrodka nazwali pięknie Słoneczną Drogą. Inni uważali, że ośrodki wypoczynkowe oznaczają przekreślenie tych wszystkich uroków, którymi szczyści się Kazimierz i które stanowią o jego nieprzemijającej wartości.

Wydaje się, że najlepszym wyjściem, godzącym zwolenników obu poglądów, jest budowa tzw. drugiego Kazimierza po przeciwniej stronie Wisły — co i ja skromnie sugerowałem w artykule pt. „Zbudujmy drugi Kazimierz („Kamena” nr 17 z 13 sierpnia 1972 r.).

Koncepcja ta nabiera coraz bardziej realnych kształtów, chociaż do opracowywania konkretnych planów jeszcze dość daleko. Myślę jednak, że po opracowaniu studium krajobrazowego będzie można w przyszłym roku przystąpić do bardziej konkretnych działań. Osobiście widziałbym tu, po opracowaniu wstępnych założeń, rozpisanie konkursu ogólnopolskiego i to powszechnego, a nie tylko zamkniętego. Ołbrzymi teren pomiędzy Janowcem a Bochothnicą, rozciągnięty wzdłuż Wisły, urozmaicony licznymi jarami i wąwozami, o równym Kazimierzowi mikroklimacie, silnie nasłoneczniony zwłaszcza nad rzeką, już istniejąca dobra komunikacja drogowa i rzeczna, zaplecze dużych kompleksów leśnych — wszystko to stwarza doskonałe warunki dla szeroko pojętej rekreacji. Pełne wykorzystanie tej szansy, zaprojektowanie z rozmachem zarówno całości jak i poszczególnych obiektów przyciągnie inwestorów z całego kraju. Jeżeli te wszystkie walory drugiego Kazimierza potrafimy odpowiednio wyzyskać, a mówiąc prościej — przehandlować, nie ustępując przed naciskami lub kuszeniem do ustępstw za cenę kilku milionów, mamy szansę wpisania pięknego i trwałego rozdziału zarówno w historię samego Kazimierza jak i całego województwa.

kilkudziesięciu nazwisk. Ale w tym toku ginęły indywidualności i szarże, a skłonność do wydłużania honorowej listy wprowadzała do wykazu osoby całkowicie przypadkowe, które nie odróżniały obrazu od obrazu. Tym sposobem rzecz cała ulegała pewnej dewaluacji, a obecnie tylko rzeczywiście duże i reprezentacyjne imprezy plastyczne ozdabiane są „komitetem honorowym”.

Nawet jednak ostatnia „Wystawa Czterech Województw” musiała odbyć się bez takiego ciała, co i dobrze, albowiem nie wiem, jakim cudem można by urządzić przed omówieniem przedstawicieli władz Państwowych i Kielecczyzny, gdyby pojawili się w sali lubelskiego BWA podczas otwarcia ekspozycji. Plastyki z tych województw — ci, których prace oglądaliśmy, dali bowiem do zrozumienia, że — poza doprawdy nielicznymi wyjątkami — nie potrafili malować, przekładając nad tę pospolitą czynność udział w autokompromitacji. Tamtejsze Biura Wystaw Artystycznych i zarządy ZPAP faktycznie zakpiły z poczucia odpowiedzialności, albo to nie przysyłając reprodukcji do katalogu, albo to w ostatniej chwili wycofując jednych i śląc innych zawodników. Wiem, że nieładnie określać artystów plastyków związkowych mianem zawodników, ale to chyba mniej podłe od grubego tartowania z tzw. sztuki i moralności. A tak przy okazji chciałbym zapytać, co to wszystko znaczy, że Rzeszów międzynarodowych plenerów bieszczadzkiej, ogólnopolskiej wystawy „Konfrontacje”, pięknej sali wystawowej i chłonnego rynku zbytu na prace użytkowe — posiada tylko kilku artystów z prawdziwego zdarzenia? Kiedy w jakimś mieście brakuje soli ekspozycyjnej, pracowni i kontaktów międzyludzkich (jak np. w Kielcach), aktywne życie artystyczne wydające wartości — twierdzą plastyki — jest niemożliwe. Okazuje się, że wartości nie chcą rosnąć również na dobrze odżywianej glebie. Może ziarno nie takie?

Ewolucja protektoratu jest swoistym wyrazem, dość precyzyjnym określeniem społecznego nękania sztuki. Nie bądnijmy jednak tacy płaczący, kiedyś każda wystawa była wydarzeniem, bo tych wystaw było mało, a sens i skutki upowszechniania sztuki wydawały się jasne i dobre. W czasie pierwszego zebrania Tymczasowej Wojewódzkiej Rady Kultury i Sztuki w Lublinie (27 września 1945) naczelnik miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki, J. Widmański, informował o przygotowaniach do puszczania w ruch wystawy okrojonej — „w myśl hasła upowszechniania sztuki, gorliwie propagowanego przez grupę artystów „Zespół”. Ponadto naczelnik uznał za stosowne przypomnieć słowa prezesa ZPAP, Stanisława Teisseyre'a, pełniącego dziś funkcję rektora PWSSP w Poznaniu, który publicznie apelował do plastyków: „Nie zamknięcie się w salach wystawowych. Wejdźcie do gmachów publicznych, świątyni, hal fabrycznych i chat wiejskich. Artysta dać może zawsze bliźniemu to, czego żaden inny człowiek dać drugiemu nie jest w stanie — wzruszenie artystyczne”.

Propozycje prezesa usiłowano wcielić w życie w sposób konwencjonalny i nowatorski. Z jednej strony urządzono wystawę objazdową, z drugiej zaś — uruchomiono w lokalu związku plastyków stałą Poradnię Wnętrz Świątlicowych, mającą obsługiwać miasto i wieś. Jak długo egzystowała,

nie wiem, dokumenty archiwalne milczą na ten temat. Wiadomo natomiast o jeszcze jednej, dość szczególnej postaci przeniesienia piękna w życie codzienne. Oto cytaty z protokołu z kwietnia 1946 roku, podpisanego przez Józefa Nikodema Kłosowskiego, naczelnika wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie:

„Dla podniesienia poziomu artystycznego rzemiosła polskiego i powiatania rzemiosła ze sztuką — plastyki lubelscy powzięli inicjatywę prowadzenia wykładów niedzielnych dla rzemieślników (stolarze, męwy). Pierwsze wykłady zorganizowane wespół z Izbą Rzemieślniczą miały znaczną frekwencję. Tematy były następujące: Rzemiosło a sztuka (prelegentka ob. Wanda Arltowicz-Młodziejewicz) i Historia kostiumu, opracowana przez Marię Wojską-Berczewską. Zresztą związki plastyczne z

Fochy, fuchy i szczypta optymizmu

rzemiosłem lubelskim, w końcu naturalne, były podkreślane także przy innych okazjach, co jednak nie zachęca mnie jakoś do podsuwania tego wzorca obecnemu zarządowi ZPAP w Lublinie. Ale czy naprawdę nie się odbiera hasło „Rzemieślnik to brzoza dumnie!”.

Artyści razem z władzą przymierzali się do dalekiej podróży w szerokie masy, lecz szło to dosyć nieporadnie, albowiem artyści nie mieli czym i gdzie malować, nie mieli gdzie mieszkać, a poza tym ludzie jakoś nie garnęli się tysiącami do sztuki, co zrozumiałe, bo mieli ważniejsze sprawy na głowie. Tak to już jest, byt określa świadomość i hierarchię potrzeb, a ten byt był wówczas podły. Kiedy jednak malarze zaczęli opuszczać Lublin, gwałt się podniósł w mieście. Potrzebę sztuki odczuwa się najbardziej wówczas, kiedy jej nie ma.

Dziś sztuki i plastyki mamy na kilogramy — sztuki mniej, plastyki bardzo dużo, tak na bodaj 2 miliony obrotu PSP. To jednak normalne, wybitne zjawiska mają charakter unikalny, a jeśli jest inaczej, rychło można s-odziać się dewaluacji. Mona Lisa w tysiąc egzemplarzy byłaby dostępna dla każdego, jak reprodukcja, ale kto wtedy chciałby posiadać ten zamitologizowany obraz

Leonarda, który już nie wiadomo, czy jest arcydziełem malarstwa, czy arcydziełem działań mitotwórczych?

Te wybitne zjawiska ujawniają się w dwóch miejscach: przede wszystkim w chełmskiej „Galerii 72” oraz w lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych, które obok normalnej działalności artystycznej, miały unikalny w kraju „Salon krytyków”. Chełm wadził absolutną rewelacją artystyczną i społeczno-kulturalną, prezentującą najświetniejsze nazwiska polskiej sztuki współczesnej, nazwiska sprawdzone, sygnujące zazwyczaj twórczość klasyczną, wprowadzoną na stałe do historii dzisiejszego malarstwa. Przypomnijmy, że w „Galerii 72” uruchomionej dzięki szczęśliwej krzyżówce inicjatywy lokalnej i stołecznej, wystawiali dotąd: Dobkowski, Wdowicki, Winiarski, Sosnowski, Gierowski, Przybylski, A. Lenica, Ziemiński, W. Borowski i Berdyszak.

O „Salonie krytyków” BWA nie wypada mi mówić w tonacji zbyt wysokiej, jako że sam uczestniczyłem w jego działaniach, a poza tym artysta Kępiński, którego swego czasu prezentowałem w owym pomieszczeniu, miał mi coś za złe, z powodów politycznych, czyli niesłusznie, o czym świadczy „Salto” Konwickiego, wyświetlane po latach w TV.

Artyści mają jednak skłonność do fochów, są zazdrośni; kiedy o malarstwie pana F. piszę dobrze, czyli prawdziwie, kilku jego kolegów związkowych daje mi do zrozumienia, że jestem na żołdzie tego artysty, który w sytuacji odwrotnej wyraża ochotę jak jego okazjonalni adwersarze, co wcale nie powinno dziwić. Młodzi malarze, kiedy im się powie to i owo krytycznie, biorą się do bicia i ciskają mięsem, nie bacząc na poniedziałki. Przed wojną bywało podobnie, pewien znajomy artysta oprawił pewnego malarza-oficera w ramki francuskie, tak mu mocno przywalił w ferworze dyskusji, kto z nich lepszy.

W „Salonie krytyków” spotkaliśmy dotąd twórczość Berdyszaka, Boguckiego jnr., Fałata, Gajdy, Kępińskiego, Kromholza, Kwaszkiewicz, Nowosielskiego, Popka i Zarębskiego, których prezentowali Bogucki, Madeyski, Radajewski i niżej podpisany. Łatwo zauważyć, że galeria lubelska prezentuje szerszy przekrój pokoleniowy sztuki polskiej, preferując twórców młodszej generacji. Ciekawi ci autorzy mają już stałą publiczność, wiernych sympatyków dorobił się także „Salon” — właściwie nie ma wśród nich plastyków lubelskich, co przecież rozumiałe, jako że roboty wszelakiej w regionie mnóstwo. Czego tu wymagać, jeśli na otwarciu retrospektywnej wystawy pośmiertnej Zenona Kononowicza w Muzeum Okręgowym, skromnie zaakcentowanej zbyt skromnym katalogiem, pojawiło się trzech czy czterech malarzy starszej generacji, w tym człowiek, który przez wiele lat rywalizował z „Kanonem”... Niedyskryjny protektorat miał także i tę dobrą stronę, że

„Wyczytałem w gazecie „Dziennik Ludowy”, że wysłała jakaś księżka „Wesele lubelskie”. O ile taką księżkę posiadacie, to proszę o natychmiastowe wysłanie mi za załączeniem pocztowym. Ponieważ na końcu stycznia obchodzi złote go-dy, może znajdę jakiegoś przemówienie na 50-lecie. Po 15.174 r. proszę już nie przysyłać, ponieważ będzie mi już niepotrzebna”.

Księżka jako praktyczny poradnik w rozmaitych życiowych okolicznościach, prywatnych i zawodowych. Masowe zapotrzebowanie. Księżka jako źródło bulwarowej rozrywki, na którym to guście chytry wydawca potrafi ubić dobry interes, publikując na przykład rzecz pod tytułem „Pamiętnik pokojówki z „Europejskiego”. W trakcie lektury się okazuje, że idzie o wspomnienia pokojówki, ale z powstania warszawskiego i robót przymusowych w Niemczech (chwyt wychowawczy, lecz czy w pełni etyczny?). I każdym razie „Pamiętnik pokojówki...” w hurcie wy-czerpany. Niech będzie i tak, skoro współczesnej poezji i prozy pod strzechami nie chcą (nie mogą? nie potrafią?) za bardzo czytywać. Nie starzeje się natomiast „Ostatni Mohikanin” i „Ania z Zielonego Wzgórza”.

Władysław Wójcik, dyrektor Domu Książki w Lublinie, powiedział mi, że w roku ubiegłym handlowano im się książkami nawet nieźle. Plan sprzedaży wydawnictw został wykonany w 103,7%, w czym duża zasługa czterotomowej encyklopedii powszechnej (subskrypcja) oraz „Księgi z tysiąca i jednej nocy” (subskrypcja). W istniejącej na Lubelszczyźnie sytuacji księgarstwa ta sprzedaż może się nawet wydawać krzepiąca, co nie znaczy, iż istniejąca na Lubelszczyźnie sytuacja księgarstwa jest optymistyczna. Wręcz przeciwnie.

„W Polsce jest 1800 księgarń. Przy obecnym poziomie produkcji wydawniczej powinno być ich dwa

i pół tysiąca” — pisze cytowany przeze mnie Iwanowski. I dalej: „Jedna księgarnia przypada obecnie na 20 tys. osób, podczas gdy, zdaniem teoretyków, górna granica to 10 tys. ludzi”. Nie wiem, skąd autor brał te liczby, bo z moich źródeł wynika na przykład, że w kraju jedna księgarnia przypada na 16,5 tysiąca osób. Ale mniejsza z tym, albowiem nie niweluje to zasadniczej dysproporcji między produkcją książek a możliwościami handlu książkami, między ilością wydanych książek a siecią księgarską, która na Lubelszczyźnie posiada szczególne braki w stosunku do reszty kraju.

Województwo ma obecnie 90 księgarń. Jedna placówka przypada na około 22 tys. osób, aczkolwiek ta średnia niewiele jeszcze mówi, gdyż, pomijając zaniedbania w stosunku do reszty kraju, trzeba pamiętać, że i w samym województwie istnieją rażące dysproporcje — w powiecie hrubieszowskim jedna księgarnia obsługuje ponad 52 tys. mieszkańców, w parczewskim jedyna w ogóle (!) księgarnia przypada na ponad 41 tys. osób, natomiast powiat bełżycki (niewielki, bo liczący jedynie pięć gmin) ma aż cztery księgarnie i około 10 tys. mieszkańców na jedną placówkę, czym zresztą dopiero osiąga wymaganą przez fachowców „górną granicę” zagęszczenia.

Przy tym dla określenia możliwości i skuteczności handlu książkami używany miernik — jedna księgarnia na określona liczbę osób — jest całkowicie iluzoryczny. Do powstaje pytanie. Jaka to jest księgarnia? Ile ma okien wystawowych, jaką powierzchnię do sprzeda-

zy, jakie zaplecze magazynowe i socjalne? Powierzchnia użytkowa 20 księgarń na Lubelszczyźnie kształtuje się w granicach 19-43 metrów kwadratowych, co jest poniżej wszelkiego minimum, szczególnie iż najczęściej nie istnieją możliwości rozbudowy tych lokali. W jakich warunkach czasem one pracują świadczy fakt, że Dom Książki w Lublinie planuje w najbliższych latach budowę toalet w pięciu księgarniach, instalację umywalk i centralnego ogrzewania. W ogóle sformułowany przez lubelski Dom Książki program rozwoju księgarstwa w województwie do roku 1975 zakłada modernizację 13 księgarń, zaś w 53 przypadkach remont bieżący lub średni. Zakłada też budowę 9 nowych placówek.

To wszystko wyznacza tak zwaną skalę potrzeb najbardziej pilnych, zarazem świadczy o warunkach pracy lubelskich księgarzy. A

najeździe obowiązkami pani domu i matki?!

Jeśli zaś idzie o wzrost efektywności handlu książkami, Lubelszczyzna planuje na rok 1975 w porównaniu z rokiem 1972 wzrost obrotów o 51,4%. Pomijając kwestię rozpoznania zapotrzebowania odbiorcy, bo o wszystkim pisać nie można, rysuje się pytanie, czy owe założenia są realne przy istniejącym tempie inwestowania? W roku 1972 przybyła nam jedna księgarnia, w roku 1973 — także jedna (250-metrowy lokal w Puławach), nie licząc przeniesionej do nowych pomieszczeń księgarni włodawskiej. Nowa księgarnia w Puławach cieszy —

ALARM W SPRAWIE

trzeba pamiętać, iż zawód ten łączy w sobie profesję handlowca i działacza kultury, od księgarza wymaga się — jak twierdzi dyrektor Wójcik — odpowiedniego światopoglądu i postawy etycznej, uczciwości, dyscyplinowania, wytrzy-małości fizycznej (tak — dźwiganie pak książek!), minimum wykształcenia średniego (najlepiej księgarskiego), przejomości i taktu, panowania nad sobą, ruchliwości i dynamizmu, spostrzegawczości i szybkości orientacji, cierpliwości, obowiązkowości i punktualności, poprawności językowej, poczucia czasu i umiejętności gospodarowania nim, charakteru żywego lecz nie wybuchowego, dobrej pamięci i dbałości o wygląd zewnętrzny! Jak to wszystko ma realizować kobieta (bo tych w zawodzie więk-szość) na 20 metrach kwadratowych powierzchni użytkowej, bez toalety i centralnego ogrzewania, obarczona ponadto w życiu prywatnym

jest tam zaplecze socjalne jak się należy, obszerny magazyn, rampa na dostawę książek od zaplecza, odpowiednio okna wystawowe; obroty w porównaniu ze starą księgarnią skoczyły o 25% (w dawnym lokalu też jest księgarnia). Księgarnia w Puławach cieszy szczególnie dlatego, że jest przykładem dobrowolnej współpracy między władzami lokalnymi a przedstawicielami Zjednoczenia Księgarstwa w kwestii budowania księgarń w nowo powstających osiedlach mieszkaniowych. Ale dopóki ta kwestia będzie zależała od „dobrowolnej współpracy”, dopóty będzie realizowana sporadycznie i po partyzancku.

Zjednoczenie Księgarstwa wybiera sobie rozwiązanie w sposób następujący: „Zapotrzebowanie na środki inwestycyjne, niezbędne na rozbudowę sieci księgarskiej w miastach, mogłoby być bardzo poważnie ograniczone, gdyby udało

jego bohaterowie musieli uczestniczyć w inauguracji wystaw: z poczucia obowiązku i przyzwyczajenia, a często nawet z porywu serca. Takie to były czasy.

A dziś? Dziś staromiejską galerię „Labirynt”, uruchomioną w bólach okropnych i z pomocą wielu wydatkowanych tysięcy, zamyka się z powodu kolejnego remontu, poprzedzonego faktycznym upadkiem tej placówki. Mówienie o upadku jest zresztą bezpodstawne, albowiem „Labirynt” nigdy nie stał mocno i pewnie, w żadnym okresie swego istnienia nie zbliżył się nawet do realizacji ambitnego programu, nakreślonego niegdyś przez inicjatorów sprawy. Galeria — referując w skrócie — miała koncentrować życie intelektualno-artystyczne Lublina i demonstrować istotne zjawiska i problemy plastyczne dnia dzisiejszego, solidnie dokumentować swoją działalność. Skończyło się na organizacji kilku dobrych, bardzo dobrych ekspozycji, wśród których znalazła się jedna świetna ewokacja historyczna: Andrzeja Wróblewskiego,

ideowego patrona młodzieży malarzkiej od pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Miejsca Dom Kultury całkowicie zawiodł w roli gospodarza i patrona „Labiryntu”. Bez względu na to, czy poszła w staromiejskich piwnicach była rezultatem braku środków, czy też przekonania do sprawy, należało zastanowić się nad zmianą właściwości galerii. Oddać „Labirynt” w ręce ludzi, którzy dysponując cierpliwością i energią, mają do sztuki stosunek cokolwiek serdeczny. A poza tym myślać w kategoriach kultury, a nie rozrywki kulturalnej.

Jest to o tyle ważne, ponieważ środowisko lubelskie, liczące ok. 130 członków, wykazuje wznoszącą ruchliwość, no, może nie całe środowisko, ale przynajmniej ta jego część, która ma coś do powiedzenia na terenie malarstwa i grafiki. Cokolwiek zarzuciłoby się artystom lubelskim, jeńcego nie można im odmówić: konsekwentnego wychodzenia z opiótków partykularyzmu. Jest to proces dostrzegalny. Dowodem niech będzie organizacja międzynarodowego pleneru w Kazimierzu oraz przymiarki do urzędzenia w tymże miasteczku Domu Pracy Tworczej, otwartego dla wszystkich członków ZPAP i poza częścią hotelową wyposażonego w pracownię plastyczne. Kolejnym dowodem może być dość liczny — proporcjonalnie biorąc — udział artystów lubelskich w poważnych imprezach plastycznych w kraju i za granicą, m. in. w Kanadzie i we Francji. Czego brakuje, aby ten ruch w górę nabral tempa? Przede wszystkim lepszemu klimatowi społecznemu, większemu zainteresowaniu ze strony instytucji i nas wszystkich. Powstanie owego zainteresowania wymaga również działań reżyserskich.

W „Trybunie Ludu” z 20 stycznia br. znajduję następujące publikacje poświęcone plastyce: wywiad z Januszem Kaczmarem, prezesem ZG ZPAP; uwagi o plakacie Henryka Tomaszewskiego; artykuł o społecznej egzystencji sztuki; interesne naświetlenie problemów wzornictwa; rozmowę z wybitnym malarzem francuskim, Edouardem Pignon. Numer ten nie należy do wyjątków, redakcja organu KC PZPR konsekwentnie informuje czytelnika o twórczości poszczególnych artystów, eksponując zarazem istotną problematykę życia plastycznego w Polsce. Rzecz w tym, że sztuka to ważna sprawa, a związek plastyków jest najliczniejszym stowarzyszeniem twórczym w kraju, jego członkowie są obecni w różnych dziedzinach życia społecznego, kulturalnego, a także gospodarczego.

Tymczasem w prasie codziennej Lublina od dłuższego czasu kwituje się problematykę plastyczną zdawkową, krótką informacją. Ani słowem nie wspomniano o przyznaniu kolejnej Nagrody Plastycznej Lubelszczyzny, ufundowanej z myślą o młodych artystach przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

Ireneusz J. Kamiński

Tadeusz Chmielewski

CEFEIDY

podwójne Cefeidy
z ironią mrugają:
ta grudka białka
myśli, że coś znaczył
marszczy się białka
rozłoży, nabrzmięła —
oblewa planety
piecze się Wielki
Placek z Rodzynkami
zdziwione
mrugają Cefeidy

DWA GRZYBY W BARSZCZ I SŁOWO WIĄŻĄCE

Grzybów było w bród:
Tu kołczak koralowy
na pniu zgnilym siedzi,
czosnaczek cienkonogi
pośród ściółki kroczy,
tam żagiew swe siarkowe
wybalusza oczy...
porosty, chropowaty
uścisk ślą mleczajom —
z wytartym skrawkiem słońca
odchodzą
do bajek.
Uwaga, uwaga
wczoraj dzięki ofiarnej pracy
...miesiące przed terminem
uruchomiono kombinat
dostarczał będzie
...ton papieru dziennie
na nowe
tomiki poezji



Fot. W. Bugaj

się włączyć księgarnie do sieci handlowej, zaliczanej do podstawowych urzędzeń towarzyszących, które — zgodnie z uchwałą nr 281 Rady Ministrów z dnia 10 grudnia 1971 r. — są budowane przez rady narodowe i spółdzielnie budowlano-mieszkalniowe z ich środków na budownictwo mieszkaniowe”.

Nie jestem w stanie orzec, czy w tej walce o pieniądze tak właśnie powinno wyglądać zakończenie. Ale wiem, że nawet jeśli Zjednoczenie chce płacić za odrębny lokal księgarski, lub miejscowy Dom Książki chce partycypować finansowo w budowie obiektu, w którym by się znalazła między innymi księgarnia,

jak i WPHAPIS. Może ludzie w ogóle nie kochają książek?

Spośród 9 planowanych na bieżącą pięcioletkę nowych księgarni na Lubelszczyźnie jeszcze trzy mają powstać w nowo budowanych osiedlach. Jaka jest gwarancja, że podobna koimpyłka nie powtórzy się i w tych przypadkach? Jaka jest w ogóle gwarancja, że w roku 1975 będziemy mieli w województwie te 9 nowych księgarni, skoro dotychczas inwestuje się dosyć opieszale? A przecież napisano w opracowanym przez Dom Książki programie rozwoju księgarstwa lubelskiego do roku 1975, czego już „Program rozwoju kultury” nie akcentuje, że „Budowa powyższych księgarni nie usunie dysproporcji, jakie istnieją na odcinku sieci księgarskiej w poszczególnych powiatach, które to dysproporcje wyrównają się dopiero w planie perspektywicznym, jak również (budowa powyższych księ-

zniknąć dysproporcje? Dyrektor Wójcik wspominał jeszcze o jakiejś księgarni w osiedlu studenckim w Lublinie. Program Zjednoczenia Księgarstwa, dotyczący rozwoju sieci księgarskiej w Polsce, jest obliczony na lata 1973—1985. Do tego czasu ma właśnie powstać w Lublinie owa wielka księgarnia o wielostronnej i głębokiej specjalizacji (jedna z 32 w kraju). Jak widać, rozmaite plany i zamierzenia nie we wszystkich są zgodne merytorycznie i czasowo. Może to rzecz zwyczajna przy tak dalekowszocznym planowaniu? Dlatego tylko wspomnę, że wojewódzki „Program rozwoju kultury” zakła-

księgarską, pracuje na Lubelszczyźnie poza wyuczonym zawodem!

Jak ma wyglądać typowy projekt GOK-u, żeby znalazło się w nim miejsce dla księgarni, nikt jeszcze nie wie. Ale dyrektor Wójcik wysłał na początku grudnia 1973 roku pisma do wszystkich naczelników gmin, gdzie nie ma księgarni, żeby ci już teraz zastanowili się nad możliwością zorganizowania księgarni w siedzibie gminy, bądź uwzględnili księgarnie w nowo budujących się lub projektowanych obiektach użyteczności kulturalnej. Spośród 122 adresatów odpowiedziało... dwu. Ze z dnem 1 stycznia 1974 istnieje możliwość otwarcia księgarni w lokalu wynajętym. Tak to wygląda, aczkolwiek dobre i to na razie.

Nieco był obruszony Lesław Gnot, pisząc w „Kurierze Lubelskim” (20 I 1974 r.): „Stan obecny województwa wciąż jeszcze wysocy niezadowolający, dający wskaźniki mieszczące się często na dole ogólnopolskiej tabeli, nie uwzględnia jednak ogromu wysiłków poświęconych na odrobienie zapóźnień i zaległości, nie ukazuje istoty dokonywanego postępu”. Bardzo pięknie. Ale jak długo zaniedbane regiony kraju mają odrabiać zapóźnienia, żeby nieskutecznie równać do najlepszych, skoro te najlepsze nie śpią? „W okresie 1981—1990 powinny zostać usunięte dysproporcje i luki cechujące sieć księgarską na terenie województwa. Należy dążyć do tego, by w roku 1990 powstała księgarnia lub pawilon księgarski w każdej wsi będącej siedzibą gminy”. Tak napisano w „Programie rozwoju kultury województwa...” Więc „powinny zostać”, „należy dążyć”, ale ponieważ równocześnie cały kraj będzie dążył i tak dalej, więc dysproporcje między Lubelszczyzną a resztą Polski wcale nie muszą zmaleć. Chyba że się zastanowimy nad pewnymi generaliami. Że walczymy o społeczeństwo równowagi szans i wyższą jakość życia duchowego.

KSIĘGARSTWA

Maciej Podgórski

to — jeśli idzie o nowe osiedla — „dobrowolna współpraca” z władzami lokalnymi często się nie układa. Oto na przykład obok placówki w Puławach, miała w roku ubiegłym powstać księgarnia w osiedlu Róży Luksemburg w Lublinie, o który to lokal Dom Książki walczył od 1966 roku i który to lokal był budowany z przeznaczeniem na księgarnię, a nawet został uwzględniony w „Programie rozwoju kultury województwa lubelskiego 1973—1990” (Lublin 1973). Na koniec się okazało, iż „czynnik osiedlowy” zażyczył sobie w tym miejscu sklepu papierniczo-zabawkarskiego, władze miejskie to zaakceptowały, a właścicielem zostało Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Artykułami Papierniczymi i Sportowymi, konkurent silniejszy, widać, niż Dom Książki. Swoją drogą warto by wreszcie rozstrzygnąć, kto ma mieć monopol na handel artykułami papierniczymi, bo na razie handluje nimi zarówno Dom Książki

garń) nie zaspokoił w pełni potrzeb na odcinku sieci księgarskiej”. Tym więc dziwniejsze, że spośród owych 9 księgarni nie wymienia się powiatu hrubieszowskiego i parczewskiego. Widać budujemy nie tam, gdzie pilnie potrzeba, lecz tam, gdzie istnieje dobra wola władz lokalnych. Kogoś tu z czegoś warto by rozliczyć.

Programy regionalne na lata 1976—1980 przewidują otwarcie 43 księgarni w województwie, między innymi w Lublinie w osiedlu Mickiewiczowskim w obrębie mającego powstać centrum usługowo-handlowego — wielkiej księgarni (do 2 tys. metrów kwadratowych) o wielostronnej i głębokiej specjalizacji; powstaną też księgarnie na Czechowie, Kalinowszczyźnie, Dzieśiątej, Bronowicach — w nowych osiedlach (żeby tylko nie znana kołomyja). 7 placówek mają dostać miasta powiatowe (Luków pawilon na terenie Zakładów Mięsnych, Włodawa na terenie Zakładów Garbarskich). Lecz znowu dla parczewskiego przewiduje się tylko jedną placówkę, więc jak mają

da, iż do roku 1990 w każdej miejscowości będącej siedzibą gminy znajdzie się księgarnia!

Na Śląsku — jak doniosła ostatnio TV — już instaluje się pawilony księgarskie w dużych zakładach przemysłowych, zaopatrzone w książkę głównie fachową. W listopadzie 1973 roku lubelski Dom Książki wystąpił do swego zjednoczenia o zainstalowanie metalowych kioszków księgarskich (typu „Ruch”) na terenie większych zakładów przemysłowych województwa. Zakłady przemysłu kluczowego gotowe są sfinansować zakupy tych kioszków, zakładom przemysłu terenowego trzeba by je zafundować. Chodzi o 30 kioszków, które pracownicy Domu Książki zainstalowały w czynie społecznym. Jeśli zjednoczenie się zgodzi, choć na razie milczy, byłoby to pomysły piękny i zrealizowany, choć tylko zastępczy. Akurat 30 absolwentów szkoły średniej, posiadających specjalność

POLSKA 1974

„No cóż Opole. Prastare słowiańskie grodzisko. Pierwsza wzmianka historyczna w roku 846, za czasów Bolesława Chrobrego kasztelania, w latach 1179—1532 stolica książąt piastowskich”.

Tak odpowiedziałby profesor Wilkosz z „Przepióreczki”, którą ostatnio przypomniał nam teatr TV. A jak Lucjan Kydryński? Nie będę próbował, ponieważ jest on postacią autentyczną i słusznie może mieć pretensję o zniekształcenie cytatu. Poza tym nie wiadomo, jak by się do tego ustosunkował ZAIKS.

Jeśli chodzi o mnie, znalazłem się w tym mieście o wiosennym, mimo stycznia, poranku, rzucony tam w ciągu nocy dwuczłonowym pociskiem z wyrzutni PKP. Dwuczłonowym, ponieważ w Kluczborku przesiadka...

PIERWSZE wrażenie: dzień dobry skrzydlatemu kołu, które usadowiło się na szczycie stacyjnego budynku i wygląda jak chwytający równowagę duży ptak. Wrażenie drugie: czym prędzej w zasięgu ręki poczuć jakiś mleczny bar. Znalazł się. Była kawa z bułką, ale jak na mój gust za mało słodka. Na przyszły raz wysłę depezę z informacją co do ilości łyżeczek cukru.

No więc jestem w Opolu — szanowni dziennikarscy koledzy — wdycham wiosenne mimo stycznia powietrze, pozieram całkiem prywatnie to na gołębie, to na architekturę strzelającą od czasu do czasu jakąś wieżyczką i wiem, że moja znajomość z tym miastem ustali się na zasadzie niekoniecznie programowych w dziennikarstwie założeń, z pewnością natomiast — sugestij przyniesionych przez autopsję. Mam trochę zaufania do świata widzianego. Nie przypuszczam też, bym miał znaleźć się w pozycji Wojciecha Adamieckiego, który spotkał się z zarzutem, że pisząc o Lublinie reportaży — nie napisał paszkwilu. A spotkał się dlatego, że zatroskani o sprawy kultury studenci za najistotniejszy rys zagadnienia ujrzeni międzygru-

w Lublinie spotkanie z historią ma swoje granice topograficzne.

Co? Miasto wojewódzkie, które nie ma ulicznej sygnalizacji świetlnej! Co za ulga. W ogóle jakoś miejsca tu dużo, nie czuję się nieustannie nadeptywany lokciami, chcąc przyspieszyć kroku nie muszę przemąkać pod murem, ani nieustannie wyskakiwać spod jakiegoś koła, które mimo sygnalizacji wchodzi w kolizję z moją nogą. Nie muszę również w oczekiwaniu na zielone światło tonąć w rosnącej masie oblepiającej krawężnik. Jestem przechodniem, a nie molekułą ruchu ulicznego.

I jest Odra. Wierzyby nad Odrą. Nie wiem, jak wyglądają na Sekwaną, ale chyba mam tu jakąś pomoc do skonstruowania sobie powieściowej scenarii Jana Viktora. Rzeka mimo styczniowej wiosny zamaznięta. Dłgie przęty drzew jedno strzelają w górę, drugie zwisają melancholijnie jak w szopenowskiej etiudzie. Energiczny puls jakichś kropel. No tak. To z wysokości kilku pięter spada na płytę lodu roztopiona już zawartość rynny. Z dachu — poniżej fundamentów.

Jakieś dwie staruszki przystają i zostawiają na murku po kawałku bułki. To dla opolskiego ptac-

Warszawa ma swoją „Nike” i Opole ma swoją „Nike”. Kraków ma swoją ulicę Krupniczą i Opole ma swoją ulicę Krupniczą. Do analogii można jeszcze zaprosić Lublin, ponieważ opolska Krakowska z lubelskim Krakowskim Przedmieściem mają wspólnego przodka. Ale jest też coś takiego, co się w innych miastach nie powtórzy. Na przykład punkt usługowy z napisem „Podklejanie map”. Na przykład pod dużym szyldem firmy „Spolem” obok sklepu „Wszystko dla pań” wystawa „Osiągnięcia piłki ręcznej Opolszczyzny”. Zgadza się. Piłka ręczna jest też rodzaju żeńskiego, a wszelkiej kryształ cieszę oko kobiece. Męskie natomiast — kryty słomną sztyd z napisem „Karczma słupska” oraz wywieszka informująca o kaszubskiej polewce jako specjalności zakładu.

I co jeszcze? Oczywiście festiwal piosenki. Osobiście przeproszam Piastowską Wieżę, słowiańskie wykopaliska na Ostrówku, wszystkie kamieniczki w rynku i jakie istnieją inne nobliwości, ale coś mi ta piosenka nie bardzo przypadła do gustu. Albo banał o deszczach i liściach, albo cudaczenie, że ktoś tam w oczach ma pęk granatów, bądź obwieszony

OPOLE bez festiwalu

Zygmunt Mikulski

ta. Spotkanie humanizmu z ornitologią. Gołąb jest tu już pensjonariuszem, pozwala sobie nawet na niejakie fiony, co zaś do wróbla, ten przekłada doraźny a pewny zysk nad perspektywę niepewnego wyboru. Czyżby znalazł przysłowie o sobie i cietrzewiu? Miliejant nie bardzo zdecydowany: zostać jak jest — mimo wszystko te parę szczypt staje w kolizji z rygiem ulicznego porządku; zęponować — staruszki będą niepokieszone, a ptaki głodne; lepiej przyspieszyć kroku ku poważnym zajęciom służbowym.

Jest skowronkami. Tylko zaklinam panie i panów z opolskiego „Ruchu”: jeśli ten numer „Kamehy” dostanie się do rąk Kazimierza Musiōła, przepadłem. Bo cóż winno Opole? Wystawilo tej piosence pałac, a jeszcze chce dokładać. Amfiteatr zostanie zmodernizowany, otrzyma dach i ławy kryte laminatem poliesteryno-szklanym, powiększeniu ulegnie scena i jej zaplecze, wrośnie zasilanie energetyczne na tyle, by możliwa była telewizyjna transmisja w kolorze. W tym roku zamiast czterech będzie dziewięć koncertów głównych, a finał odbędzie się dwukrotnie: raz w mieście, a raz na górze Świętej Anny. To już chyba przy Opolu ten festiwal zostanie, mimo że Kielce i Rzeszów chcą go przechwy-

cić. „Scena Ujęć Naturalnych”. Dość zagadkowa nazwa, ale obejmuje inicjatywę całkiem normalną: młodzieżowy teatr. Może zresztą nie całkiem normalną, bo ten teatr jest bezdomny. Zadebiutował w plenerze (inscenizacją IV części „Dziadów” wystawionych na... cmentarzu) i po dziś dzień występuje gdzie się da: w różnych salkach, piwnicach, pod gołym niebem. Jest to teatr awangardowy, eksperymentalny, może niekiedy nadto udrziwniający, ale dysponuje aktorami o dużym zacięciu. No i takim zaangażowaniu społecznym, skoro ani aktorem, ani reżyserowi się nie płaci.

Przy tym samym „Aligatorze”, czyli Rejonowym Ośrodku Kultury, znajduje się baletowa grupa baletowa, składająca się z młodzieży zresocjalizowanej. Warunkiem przynależności jest albo nauka, albo praca. „Zresztą niech pan mnie nie pyta — mówi pani Elżbieta Stolarska, kierownik Miejskiego Wydziału Kultury — bo ja jestem fanatykiem młodzieży”. Ja też. Ale nie bez pewnych trzech groszy. Młodzież przejmuję świat po ludziach dorosłych i ma prawo nie uwzględniać ich stanowiska, nie ma natomiast prawa lekceważyć pewnego systemu pojęć, co do których popełnia błąd, traktując je jako wytwór jednej tylko generacji. W ten sposób protest przeciw zastanym konwencjom bywa lekceważeniem wartości moralnych. Tak, ale to już nie o Opolu. W tym mieście nie widzi się młodzieży bananowej, to znaczy późną datę urodzenia traktującej jako upoważnienie do ekstrawagancji, albo wprost przepustkę na obszar para-przestępcy.

W tym zgodzą się chyba ze mną ZMS-owcy z zespołu kabaretowego „Sfinks”, występującego z programami o nastawieniu społecznym. Zespół posiada już nagrodę ministra Kultury i Sztuki, a w roku bieżącym — nie zauroczmy — kandyduje do pierwszej nagrody miejskiej. Klub „Sfinks” prowadzi ciekawą akcję „Z filmem na tv” poszerzoną ostatnio o tematykę teatralną. Wykupują seans filmowy, albo teatralny spektakl, rozdają bilety młodym ludziom danego zakładu pracy, następnie urządzają dyskusję. Znamy, znamy? Owszem, ale znamy również rezultat, mianowicie naturalną śmierć inicjatyw, podczas gdy w Opolu młodzi chętnie uczestniczą w wymianie poglądów na temat widzianego przedstawienia i wszystkiego co się z nim łączy.

Tak dzieje się w dziedzinie nie tylko teatru i filmu. Muzyki również. Istnieją koncerty w Filharmonii — cykl „musica viva” — przeznaczone wyłącznie dla młodzieży szkolnej, frekwentowane nadzwyczaj licznie, nagradzane żywymi oklaskami i kwiatami. Dotychczas przychodził na nie młodzież ze szkół ogólnokształcących, ale dyrektor Marek Tracz zamierza akcją tą objąć również szkoły zawodowe.

Jednakże najważniejszy chyba awans — i to już wkrótce, bo 22 lipca — otrzyma Opole za spr-



Rynek opolski jest dziś piękniejszy niż kiedykolwiek

Fot. Archiwum

powe kwasy. Z Opola mam nadzieję podobnych „prostowań” nie spowodować.

Ten przekładaniec historii ze współczesnością trochę mnie deprymuje, ponieważ wprowadza dwójność postawy. Przystanąć przed fasadą wąskiej (3 okna) kamieniczki, to okazać się gapiem, który w systemie celowego działania jeszcze pokazuje, że stać go na marnowanie czasu. Wejść wyłącznie w nurt spraw do załatwienia, to zubożyć swoje doznanie o ten nie do pominięcia element, który polega na kontakcie z obecną tu przeszłością. Tym bardziej, że obie warstwy czasu mamy w Opolu niejako koegzystujące przestrzennie, podczas gdy

A więc sporo miejsca, swobody, przestrzeni. Jeśli by chodziło o mnie, na tym bym już poprzestał, ale Opole — jak gołąb — jeszcze chce trochę pogrymasić. Według perspektywicznego planu rozwoju miasta, opracowanego do roku 1990, całe centrum ma stać się wyłącznie kulturalno-usługowe, natomiast wszystkie instytucje, biura, urzędy blokujące lokale mieszkaniowe zostaną przeniesione na peryferie. Obwodnica Świętego Biurokracego? Biurostrada? Przypuszczam, że nawet tam nie grozi nadmierne sformalizowanie życia, jako że Opole w tym kierunku nie wykazuje — czy tylko jeszcze? — żadnych skłonności.

A propos „jeszcze”. Opole nie przeżywa tzw. stressów cywilizacji. Oby dalej duże miasto nie kołnicznie musiało być maszynką do ludzkiego mięsa.



Architektura starego Opola Fot. Archiwum

wą teatru. Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej (dyrektor — Mariusz Dmochowski), mieszczący się dotychczas w małej salce teatru lalkowego, zostanie obdarzony nowym gmachem, trzecim co do wielkości — po Warszawie i Łodzi — w kraju. Wypożyczony zostanie w scenę obrotową, a w budynku znajdzie się również salon wystawienniczy.

I jeszcze jeden rzut oka za kurtynę osłaniającą przyszłość. Tym razem nieco odleglejszą. Otóż Opolski Dom Kultury, Powiatowa Biblioteka Publiczna, Powiatowa Poradnia Instrukcyjno-Metodyczna Pracy Kulturalno-Oświatowej i Państwowe Ognisko Muzyczne mają znaleźć wspólną siedzibę w jednym obszernym kombinacie kultury. Będzie tam sala widowiskowa, będą pracownie tematyczne, pomieszczenia dla administracji itp. Za takim połączeniem przemawiają również względy ekonomiczne, jak np. oszczędność w zatrudnieniu: wystarczy jeden księgowy, jedna sprzątaczką, jeden palacz. Nie ma na razie odpowiedniego pomieszczenia, ale pomysł na tyle atakuje opinię publiczną, że prezydent miasta, Szymon Lachowicz, nie będzie miał łatwego życia, jeśli nie znajdzie możliwości urealnienia tego zamiaru.

W Czarnowasach buduje się elektrownię, która będzie zasilala miasto i województwo, zaplanowana jest fabryka domów, nowy gmach (kamień węgielny już położono) otrzyma Instytut Śląski, w dzielnicy Opole-Wschód powstanie cały ośrodek kultury (kino na 1000 miejsc, biblioteka z czytelniami, dom kultury). A wypoczywać się będzie na wyspie Bołko, gdzie powstanie podobny do chorzowskiego ośrodek sportowo-rekreacyjny z basenami, stadionami, wesołym miasteczkiem, terenami zielonymi i dostępem do ZOO.

Dryfuję w kierunku nowej dzielnicy mieszkaniowej. Dryfuję, ponieważ w tym momencie czuję się już zwolniony z dziennikarskiego obowiązku. Pisać, że się w Polsce buduje? Komunał, który powinien być karany potrąceniem z pensji. Raczej dla własnej orientacji jako mieszkaniec osiedla mieszkaniowego przeprowadzam ten niby rekonesans.

Starszego pana, który idzie przede mną, pytam — żeby znaleźć jakiś powód do rozmowy — o niepotrzebną mi ulicę Ozimską. Już wiem, dokąd nie pójdę. Ale starszy pan okazuje skłonność do rozmowy przewyższającą moje oczekiwanie, tak więc wybieg z Ozimską nie był potrzebny. Wydaje się, że zaspokoiliby moją ciekawość, nawet gdybym spytał o imię żony. Nie, nie jest autochtonem, ale w Opolu mieszka od dawna, przyjechał tu zaraz po wojnie. Pracował w wydziale gospodarki komunalnej, później w finansach, obecnie jest na emeryturze. Lubi czytać Promińskiego, nie chodzi na festiwal piosenki, od czasu do czasu bywa w kinie. Trochę gra w szachy, czytał o renesansie formy Spasskiego, ale „może Petrosjanowi się powiedzie”. Później przeprosza, bo oto dochodzimy do jego domu, a on tak po południu pół godzinki dla zdrowia.

— A Ozimska, o, w tym kierunku. — I po raz drugi pokazał w stronę Lublina.

Kiedy zostałem sam, dłużej zatrzymałem spojrzenie na oknach, drzewach i rzecze, żeby się obraz w pamięci obronił przed czekającymi go dziesięcioma godzinami monotonicznie rytmicznego stukotu.

Henryk Kozak

ŻYJĘ JAK UMIEM

Błędowskim

Co ja umiem
po pierwsze słońce na pamięć
po drugie wiatr
gdy w sztachetach zaspą śniegu go uwieź
po trzecie deszcz
jego ciepłe kroki po plecach
po czwarte moje ręce
tęskniące do pluga zimą
po piąte moje oczy
przyzwyczajone do przestrzeni
po szóste moje kroki
kroki chłopskiego olbrzyma za malutkim plugiem
po siódme niebo
jego umiar w pojeniu ziemi
po ósme sen
po dziewiąte marzenia
po dziesiąte nic Żyję tak jak umiem

NASZE UCIECZKI

braciom

Jesteśmy zagubieni
nasze ucieczki kończą się na dworcach
w przepełnionych tramwajach

Nie buntujemy się kochamy
nasze nie nasze kobiety które
na krótko przed północą
prowadzą nas na cmentarz
swojego podbrzusza

Ale to nie jest jeszcze ten cmentarz

W kolejce po mleko
wymyślamy wiersze
nic nowego nie mówiące o świecie
i udajemy się w podróż

W przedziale drugiej klasy
pośpiesznego pociągu
czytamy znanych poetów
my
w drodze na punkt skupu żywo
po pieniądze za coloroczny fraszunc'

PYTANIA WIEJSKIEGO GŁUPKA

kto to jest we mnie który kłamie
kto to jest we mnie który nienowidzi
kto to jest we mnie który udaje
kto to jest w mnie czy jest ktoś we mnie

i czy to śmiech kto się ze mnie śmieje
gdy tak sam nie sam leżę w wysokiej łące
z wiatrem pod głową z niebem nad głową
z podlaskim pracowitym latem pod ręką

DLACZEGO

Dlaczego mam z tą ziemią zmagać się
nieustępliwą
oporną
twardą jak przekleństwa ojca
gdy brat po szkołach się włóczy
mówi tak ładnie
jak ja tę ziemię kocham

A ja tę ziemię nienawidzę
depczę po niej
skiba przy skibie
wrzucam w nią ziarna
niech rodzi z krzykiem
niech broczy
niech się mego potu opije
i niech pęknie

i tak się cieszę
gdy umiera jesienią



ROZMOWA Z OJCEM

psia krew inteligentny
a zboże takie wyrosłe
jak ołtarz leśniańskiej panienki
wysokie
i komu je zostawię
pochylony nad miską zsiadłego mleka
ojciec na pożegnanie mówi
już z rodziny mnie wypisuje
za to że gumowych butów
i pluga się wstydzę
o ja ojcze na to
wiersz mówię
o śnie w trawach i
o snach traw
i o wierszach które
w nich się rodzą
i jak pasikoniki trzeszczą

słyszę odpowiada
lecz sprawdź synu
dobrze sprawdź
bo te wiersze chyba
w łąkach sąsiada dzwonią

Bóg świadkiem
że chciałbym się mylić

Zdzisław Toczyński

LIST Z ALEKSANDRII

szedł ogień
powolnym omdlewaniem ciała
przyjęły tancerki izydy
miłosne ofiarowanie

w kolumnach dzień
choć brzegiem
rosła fala zachodu bieli
uspianiem

w marmurach
nie ma bogów
tancerki zniszczyły swoją różę

czekam na posłańca
niech się zjawi
niech biegnie
— sygnał do podróży

Andrzej Tomczak

PRZEDSENNĄ GODZINĄ

czarnymi smugami rozplynęły się chmury
zbliżenie nocy
czuję jak dłoń dziewczyny
na mojej twarzy

oto misterium
rozmywania świadomości
na ostrzach spełnionego
dnia

poprzez migotanie zaokiennych cieni
przedzieram się nad brzeg czarej rzeki
gdzie czeka już mój charon
z wiosłem gotowym do drogi

Adam Ziemianin

ANTYFONA DO SZUFLADY

szuflado moja
łaski pełna
choć ciężka od grzechów lekkich
dzieciństwo moje na dnie leży
przyciśnięte zegarkiem dziadka

ty moim współnikiem
wierna powierniczką
dlatego czasem listy ci czytam
z miłosnej podróży zakończonej
katastrofą

jest pierwsza komunія
wspomnienia marcowe
i zdjęcie wujka — partyzanta
który teraz miałby pięćdziesiąt lat

wszystko to w tobie
czeka na mego snwa



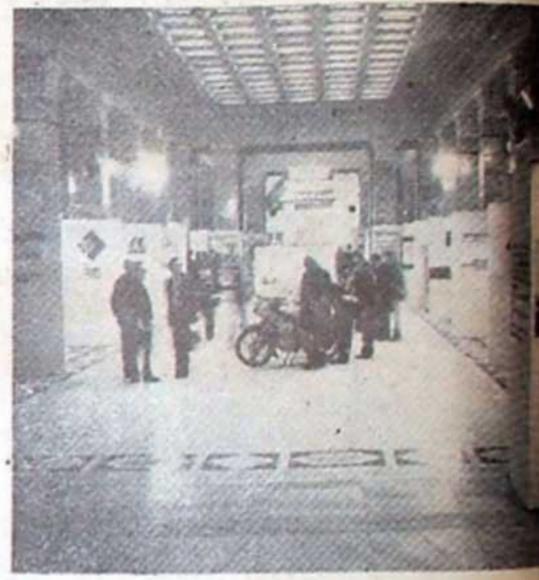
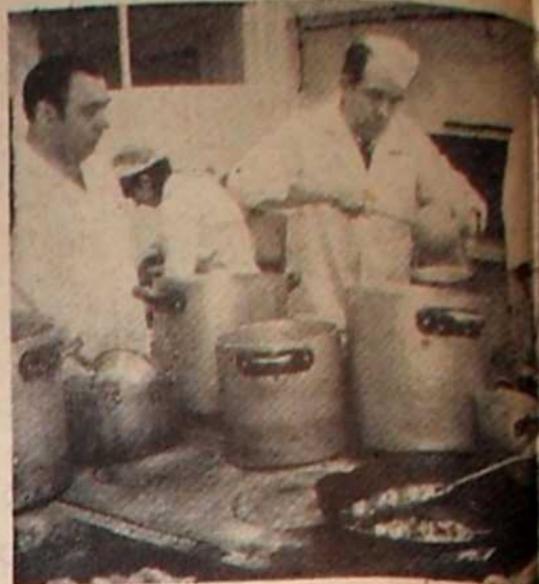
„PANORAMA“ W OBIEKTYWIE JACKA MIROŚŁAWA

U góry: Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej w czasie galowego koncertu „Nasza rzeczą jest Ojczyzna” w Sali Kongresowej PKiN.

Niżej: świdnickie helikoptery przed pałacem. Z prawej: mistrzowie kuchni — Antoni Tetrycz, Józef Łanchoz i Stanisław Sadura w „Karczmie Lubelskiej” (pokal „Gastronomii”).

Stanisław Grobel z żoną, lubelski rolnik z Jaworowa, prezentuje artystyczne wyroby plecionkarskie.

Fragment wystawy osiągnięć gospodarczych Lubelszczyzny w Sali Marmurowej PKiN.



Dlaczego odwołano występ Reginy Pisarek?

Mirosław Derecki

W KAŻDEJ placówce kulturalnej, do której trafiłem, powtarzał się w rozmowach ten sam motyw: „Nie jest dobrze z amatorskim ruchem artystycznym w Puławach. Na palcach można policzyć zespoły przejawiające jakąś żywszą działalność — chociaż fundusze na taką istnieją — ani młodzież, ani dorośli po prostu nie interesują się ruchem amatorskim”. W magazynach Dzielnicowego Domu Kultury Zakładów Azotowych leżą piękne stroje regionalne, z których nie ma kto korzystać. Zespół Puławskiego Teatru Amatorów, placówka zastużona, obchodząca w bieżącym roku dwudziestopięciolate istnienia liczy niespełna dziesięciu członków. Bardzo słabo wygląda ruch recytatorski. Opowiadano mi również, że kiedy na pewnej ważnej akademii miała wystąpić orkiestra dęta Zakładów Azotowych,

odegrano hymn państwowy i Międzynarodówkę z... płyt gramofonowych, bo na miejscu zjawili się zaledwie kilku członków orkiestry.

Natomiast coraz większą popularnością cieszą się kluby zainteresowań, jak na przykład powstały niedawno Klub Kolekcjonerów, liczący już 30 osób. Puławski Klub Twórców Ludowych, działający przy Powiatowym Domu Kultury: na zasadach samorządowych i zrzeszający 85 twórców, czy też Puławski Klub Plastyków Amatorów (25 członków) przejawiają ożywioną działalność, przy czym ten ostatni szczególnie wiele czasu i wysiłku poświęca na przygotowywanie prelekcji na temat sztuki, ilustrowanych przezroczami i z wykorzystaniem nagrań muzyki poważnej. To samo można powiedzieć o Puławskim Towarzystwie Fotograficznym, Towarzystwie Muzycznym czy Towarzystwie Przyjaciół Puław. Ale to nie zmienia faktu, że sprawy tak zwanej kultury masowej wciąż w Puławach kuleją.

Co jest tego przyczyną? Wszak Puławy posiadają odpowiednią bazę — zaplecze lokalowe i finansowe. Dziesięć placówek kulturalnych — Powiatowy Dom Kultury, nowoczesny, choć niewielki Dzielnicowy Dom Kultury pozostający pod opieką Zakładów Azotowych, Klub IUNG-u, w którym zbierają się naukowcy, Klub SITPChem — grupujący puławskich inżynierów i techników, Klub ZMS, Młodzieżowy i Spółdzielczy Domy Kultury... szereg świetlic w różnych puławskich instytucjach — to wcale nie mało jak na 40-tysięczne miasto.

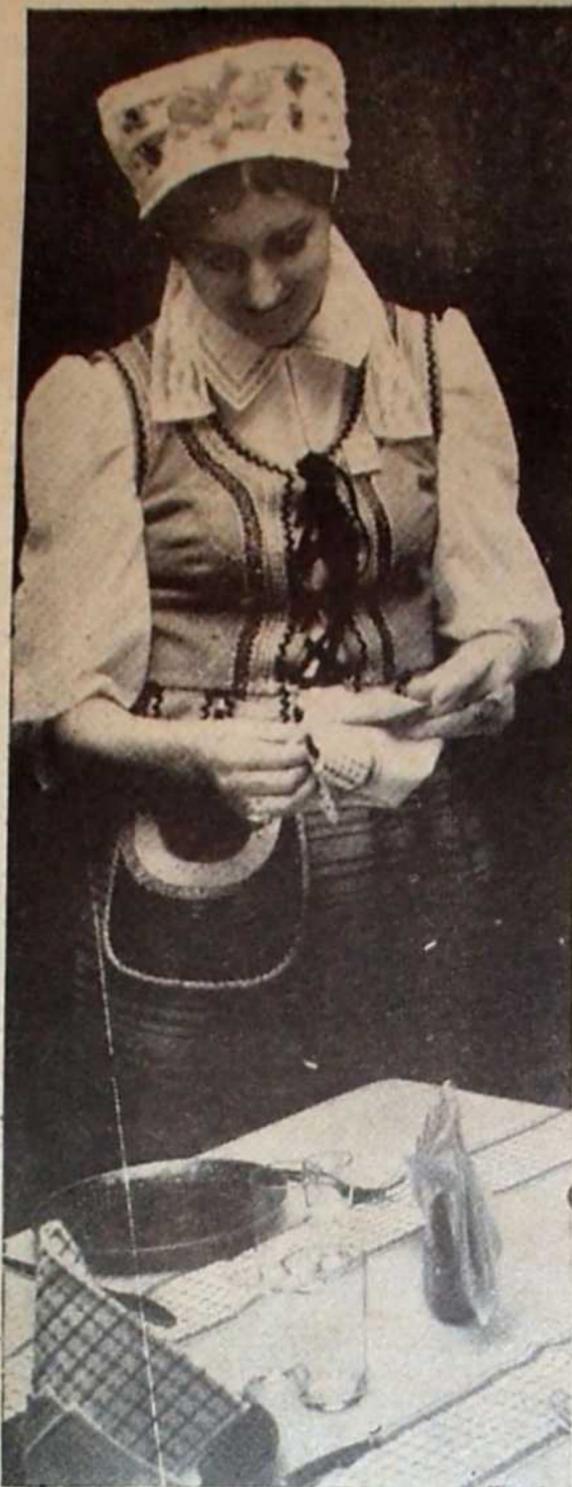
A jednak: jak sterować kulturą w dziesięciu Puławach — oto jest pytanie! Puławy należą do tych miast, które zdystansowały w sposób szczególnie widoczny nastawioną na działalność tradycyjną — „maszynę” kulturalną. Właśnie tutaj tym bardziej wyraziście widać, że stare, wypracowane w latach pięćdziesiątych formy pracy nie sprawdzają się w nowoczesnym, prężnym organizmie miejskim, w nowej społeczności ludzkiej popatrzonej przez pryzmat potężnych Zakładów Azotowych, z których specyfiką jest owa społeczność silnie związana. A o nowych formach działaczy kulturalni mają wciąż jeszcze mgliste wyobrażenia. Z drugiej strony — trudno się temu wszystkiemu dziwić. Najbardziej burzliwy okres rozwoju miasta i Zakładów już minął, ale tutejsze społeczeństwo wciąż jeszcze pozostaje w fazie tworzenia własnego oblicza.

Puławy są miastem ludzi młodych, miastem naukowców, inżynierów, techników, wykwalifikowanych robotników, przybyłych z całej Polski. Uplynie sporo wody, zanim nastąpi pełna integracja takiego środowiska, a ludzie uświadomią sobie, że związani są na stałe nie tylko z miejscem pracy, ale również — a mo-

że przede wszystkim — z obecnym miejscem zamieszkania. Kiedy to nastąpi łatwiej będzie się im włączyć w krwioobiegi życia kulturowego miasta.

Puławy są miastem, w którym wielka grupa ludności uzyskała dobrą socjalizację — szczególnie chodzi tutaj o mieszkaniową — stosunkowo łatwo i stosunkowo przodem. Dobrze zarobki pozwalają z kolei na szybkie i wygodne urządzenie domu, a co za tym idzie, znalezienie w nim dogodnych warunków do wypoczynku. W latach pięćdziesiątych życie świetlicowe kwitło właśnie dlatego, że ludzie często nie mieli się gdzie podziąć po pracy. Nie kusilo ich — bo nie mogło — domowe zacisze z własnym, szerokim oknem na świat — telewizorem, od którego tak trudno się oderwać. Szybka stabilizacja życiowa nie pozostaje bez wpływu na rozwój rodziny: dzisiaj w Puławach coraz więcej młodych małżeństw ma po dwoje, lub nawet po troje dzieci i na ich wychowanie musi poświęcać znaczną część wolnego czasu. Mimo istnienia dziesiątek szkół podstawowych klasy są przepełnione, uczęszcza do nich po 40-50 dzieci, podobna sytuacja panuje w przedszkolach czy żłobkach.

Puławy to nie tylko miasto ludzi uczących się w całym szeregu dziennych techników i zasadniczych szkół zawodowych. To również miasto ludzi masowo dokształcających się. Bo tutaj, jak nigdzie indziej, uzupełnienie wykształcenia wiąże się z możliwością awansu i lepszych zarobków. „Postaramy się popatrzyć na wielką grupę puławiaków w sposób obiektywny — powtarzali mi często tutejsi działacze kultury. — Ci wszyscy „dokształcający się” to osoby nie mające dla siebie chwili czasu, ciągle gdzieś nerwowo śpieszący się. Ich życie codzienne rozpada się na czas spędzony w biurze



Najlepsze potrawy lubelskiej kuchni, przyrządzane według prastarych receptur, podawaly w „Karczmie” piękne dziewczęta w regionalnych strojach lubelskich.



17-osobowa Ochotnicza Studencka Orkiestra Ogniowa „Remiza” pod kierownictwem Zbigniewa Jonaka (UMCS).



Fragment występu Zespołu Tańca Ludowego UMCS.



Jerzy Witek, garncarz z Urzędowa, artysta ludowy, autor rzeźb ceramicznych przedstawiających sceny rodzajowe, postacie świętych oraz różne zwierzęta.

rze lub przy maszynie, czas poświęcony na dojazdy do szkoły — nieraz do Lublina — na pobyt w klasie i na odbieranie w domu zadanego materiału. Jeżeli do tego jeszcze dochodzą obowiązki rodzinne, to trudno się dziwić, że nie chce im się w wolnej, ciężko wygospodarowanej chwili, śpiewać lub tańczyć. Czy można się dziwić, że w tym ciagle spieszącym się, wciąż jeszcze „na wyrost” żyjącym mieście, jedną z najbardziej ożywionych działalności przejawia... Klub Seniora?

Wszerechobecność telewizji — możliwość obejrzenia na szklanym ekranie przedstawień teatralnych, filmów, występów estradowych na najwyższym poziomie krajowym lub międzynarodowym, możliwość spotkania z ciekawymi ludźmi powoduje — przynajmniej w pierwszym okresie zafascynowania telewizją — niechęć do własnych produkcji artystycznych. „Po co mam się wygłupiać, skoro wychyć do klubu na spotkanie z Ikssem, skoro o wiele wygodniej obejrzeć i wysłuchać go w domu, a jego wypowiedź w telewizji będzie uzupełniona planszami, wykresami czy projekcją filmu w telekinie?” Czy należy się potem dziwić, że kiedy przyjeżdża do Puław ciesząca się tutaj dużą popularnością Regina Pisarek występ jej trzeba w ostatniej chwili odwoływać, bo organizatorzy zdołali sprzedać zaledwie 50 biletów? Ale tutaj zaraz wyłania się inny, równie ważki problem: swoistego — do niedawna — „rozgrzyszenia” pracowników wielu instytucji przez rady zakładowe, które szczerą reka szafowały pieniędzmi przeznaczonymi na działalność kulturalną, kupując za nie darmowe bilety dla pracowników. Znamy są fakty, również mające miejsce w

Zakładach Azotowych, kiedy tzw. wycieczki do teatrów warszawskich (przy czym Rada Zakładowa płaciła za bilety i za przejazd autokarem) były przez pracowników traktowane po prostu jako darmowe wyjazdy po zakupy w Warszawie a spora grupa „wycieczkowiczów” albo wcale nie pojawiała się w teatrze, albo sprzedawała bilety pod kasą.

I znowu — sporo czasu upłyne, zanim przeciętny pracownik zrozumie, że „kupowanie” kultury za własne pieniądze jest rzeczą zwykłą i normalną.

I wreszcie — sprawa niezwykle istotna, o której stale muszą pamiętać puławscy działacze kulturalni: Puławy są w swej znacznej części miastem ludzi pracujących na trzy zmiany. Tymczasem wciąż jeszcze, tradycyjnie, imprezy odbywają się w godzinach wieczornych, a większość placówek kulturalnych zamkniętych jest przed południem.

Kierownik działu miejskiego Powiatowego Domu Kultury, Paweł Ochmański, twierdzi, że jeszcze trzy, cztery lata, a sytuacja zmieni się radykalnie. Wtedy, kiedy „nowoosiedleńcy” odchowają dzieci, a główny rzut osób doksztalających się — uzyska dyplomy. Ludziom zacnie być trochę nudno w wygodnych, domowych pieleszach, a i atrakcyjność posiadania własnego telewizora osłabnie. Inaczej mówiąc — kiedy Puławy nadgonią to, czego nie można zbudować z cegieł i cementu i zmieszczą się w modelu nowoczesnego miasta przemysłowego. Ale dlatego też już obecnie musi się myśleć o nowych formach działalności kulturalnej i o nowoczesnym pojmowaniu słowa kultura w odniesieniu do młodej puławskiej społeczności. Podobnego zdania jest kierownik oddziału kultury w puławskich Zakładach Azotowych, Władysław Langer.

Wielkie znaczenie przypisują obydwaj faktowi otwarcia Domu Chemika, którego budowa powinna być zakończona w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat. Ten wielki, nowoczesny pomyślany obiekt, umiejscowiony w centrum miasta — co ma ogromne znaczenie — pomieści salę widowiskową na 600 miejsc z dużą i dobrze wyposażoną sceną (której brak odznaczają dzisiejsze Puławy), gdzie bez trudu będzie mógł wystąpić zespół w rodzaju „Śląska” lub „Mazowsza” i gdzie będą mogły stale odbywać się występy lubelskiej operetki czy Teatru im. Osterwy. Puławy zyskają więc niejako dwie „stale” sfony zawodowe. Mniejsza sala widowiskowa oddana zostanie na stałe teatrowi lalkowemu, który ma w mieście nlemale tradycje. Znajdą tutaj również pomieszczenia sala baletowa z zapleczem, czytelnia, biblioteka, sale gier, pracownia plastyczna, gabinety zainteresowań oraz placówka, której brak szczególnie daje się odczuć w Puławach — Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Dom Chemika, lub jak proponują niektórzy — Puławski Dom Kultury — skupiłby większość puławskich placówek kulturalnych i stanowiłby siedzibę tych amatorskich zespołów artystycznych z całego miasta, które przetrwały próbę czasu i potrafiły wypracować sobie odpowiednią pozycję. Tutaj także spotykali by się majsterkowicze i hobbyści. Dom Chemika byłby więc w myśl tej koncepcji głównym i właściwie jedynym centrum działalności kulturalnej, wyrażającej się w bardzo różnorodnych formach. Natomiast obecnie istniejące kluby zwróciłyby szczególną uwagę na działalność wypoczynkową, rozrywkową, a przede wszystkim na różne formy pracy z dziećmi.

Coraz mniej popularny wśród dorosłych amatorski ruch artystyczny cieszy się ogromnym zainteresowaniem najmłodszych. Na pracę z dziećmi — krzewienie kultury plastycznej, muzycznej, teatralnej — nastawiają się też przede wszystkim tutejsi działacze w swoim długofalowym programie krzewienia kultury w środowisku. Podobnie — na pracę z młodzieżą szkolną i gimnazjalną, chociaż wciąż jeszcze nietatwo znaleźć zrozumienie u władz szkolnych, które niezbyt chętnie spoglądają na uczestnictwo swoich wychowanków w kulturalnej pracy pozaszkolnej.

Przykład doskonale pracującego, jak się rzekło, Puławskiego Klubu Plastyków Amatorów kieruje uwagę na rozwijanie idei klubów hobbyistów i kół zainteresowań — teatralnych, muzycznych czy filmowych, które nie stawiałyby na tworzenie zespołów artystycznych, ale na formy dyskusyjne, wystawiennicze oraz spotkania z interesującymi przedstawicielami poszczególnych dziedzin sztuki. Tak jak to się dzieje w przypadku Małej Akademii Filmowej, działającej przy klubie „Mozaika” w PDK.

Co się zaś jeszcze tyczy Domu Chemika, to bardzo prawdopodobne, że na jego utrzymanie i działalność będą łożyły wspólnie wszystkie instytucje kulturalne w Puławach. Wybudowany przez Zakłady Azotowe, będzie własnością wszystkich mieszkańców. Jeżeli chcemy budować nowe społeczeństwo i nową kulturę, nie wolno nam sobie pozwalać na najmniejszy przejaw partykularyzmu — powiada Władysław Langer.

ROZNE bywają napięcia między kobietami, to zaś było szczególne, a wynikało z powodu jednego łóżka w prywatnej kwaterze noclegowej, albowiem hotel w tym miasteczku był w remoncie. Jedna handlowała nasionami, druga była organizatorką widowni w teatrze objazdowym — obie były nad wyraz tegie, „skazane na to jedno legowisko. Każda była przekonana, że jej się należy to łóżko, a w całym mieszkaniu były tylko dwa, drugie w przyległym pokoiku zajmowała para gospodarzy — nieco zdziwczalych staruszków. Dlatego kobiety na wstępie zaczęły licytować się swoim zęczeniem. „Nóg nie czuję, wszystko mnie boli, tyle się naszarpalam na jarmarku dzisiejszym. Z doświadczenia wiem, że lepiej handlować z mężczyznami niż z babami. Baby ostrzej się targują, a chłopy można łatwo na ambicję wjechać. W tej dziurze jarmarku odbywają się w piątki, a to też nie jest dobry dzień do handlu. Wczoraj w pewnej miejscowości, pięćdziesiąt kilometrów stąd, gdzie jarmark odbywa się w czwartki, miałam o sto procent lepsze obroty. A najlepiej poszły nasiona rzodkiewek” — mówiła handlarzka nasionami i rozbiierała się do snu, działając przez zaskoczenie dla zdobycia pierwszeństwa w tej cichej rywalizacji o łóżko. „U mnie dzisiaj też poszło słabo, chociaż zelówki sobie zdarłam, tyle się naganiałam. Bo też żeby zorganizować publikę na trudną sztukę w takich miasteczkach jak ta dziura, to trzeba cudu. Witkacy, jakaś awangarda, a ludzie chcą, żeby było do śmiechu, do płaczu i żeby się dobrze kończyło, takiego chcą teatru, nie żadnych wielkich filozofii. Na filozofię za mało mają czasu i atlasu, a może i pieniędzy też za mało. Nastal u nas taki młody dyrektor z wielkimi ambicjami. On ma swoje ambicje, a ja muszę się martwić, jak ludzi do tego teatru ściągnąć. A to coraz trudniej i oporniej, jak po grudzie, jak z kamienia” — mówiła organizatorka widowni z teatru objazdowego, też rozbiierając się w wiadomym celu, a łóżko było tylko jedno. Napięcie między nimi rosło, jednak kobiety za mało się znały nawzajem, by sobie już skoczyć do oczu, więc zaczęły się licytować swoimi nieszczęściami. „Przez ten cygański żywot, człowiek domu nie może upilnować. Gdyby nie to, mój mąż jeszcze by żył, a tak zmarło mu się za wcześnie, serce, żołądek, psuło się to wszystko w nim po kolei. Gdybym siedziała na miejscu, dbałabym o niego, a tak to koledzy o niego się zatroszczyli, aż go do

grobu przywieźli” — mówiła handlarzka nasion rozbiierając się w dalszym ciągu. „Ze mną było podobnie. Moim starym zajęła się nasza blika znajoma, przyjaciółka domu. Wracam ja kiedyś do chałtupy po miesięcznym objeździe, a on już się do niej przeprowadził. Widocznie dosyć miał żony-cygana, zapachniał mu spokojny, normalny dom.

Witkacy rzodkiewki i śmietana jednym tchem

Edmund Pietryk

Moja córka tak to przeżyła, że do dzisiaj za mąż wyjść nie chce, chociaż trzydziestka jej stuknęła. Ma uraz, dosyć napatrzyła się na moją rozpacz i udrękę, biedactwo” — mówiła organizatorka rozbiierając się na wyścigi. „Mój syn też nie chce się żenić. Jest piekarzem, sportowcem, jeździ tu i tam, po mnie widocznie żyłkę cygańską odziedziczył i tylko patrzy, co najlepszego z życia wyciągnąć, do żadnego małżeństwa też nie ma zafania, nie chce się wiązać, dosyć napatrzył się na moje życie” — mówiła handlarzka. „Czasem wydaje mi się, że sama nie wiem, dla kogo ja żyję, żeby chociaż kiedyś wnuków się doczekać, to byłby jakiś ludzki, konkretny cel, a tak co? Pustka, którą trzeba bez przerwy zapełniać pracą, harówką, codziennym kolowrotem” — mówiła jedna. „A i ja nie bardzo wiem, po co, na co i dla kogo tak tyram. Widocznie człowiek takiego rozpędu nabrał, że już tylko do roboty jest zdolny, nie do żadnego wypoczyn-

ku” — mówiła druga, wkładając nocną koszulę, na co pierwsza szybko wrzuciła na siebie pidżamę. Napięcie w tym pokoiku rosło, aż przyczaiło się w ciszy lub w taktycznym namyśle — w czym by się jeszcze tutaj nawzajem przelicytować? „A może gestem serdecznym ją podejść?” — pomyślała organizatorka i wyjęła z nesesera słoik śmietany. „Co to jest, śmietana?” — spytała handlarzka. „A tak, dobra, pełnotłusta śmietana — zamyśliła się na moment organizatorka i po dłuższej chwili zaczęła mówić, nie mogąc ukryć w głosie tkliwego wzruszenia. — W ubiegłym sezonie z naszego teatru odszedł dawny dyrektor, dobry, łagodny człowiek. Stary humanista — tak takich ludzi nazywają. Na zakończenie poprosił tylko, by pozwolono mu wyreżyserować sztukę pod tytułem „Edyp w Kolonie”, to taka grecka, stara sztuka, ale i popłakać na niej było można i wzruszyć się też, mimo że wierszem pisana i to trudnym wierszem, bez rymów. Po premierze wygłosił przemówienie pożegnalne, Boże, jak on pięknie mówił, że sam czuje się czasem jak ten stary bohater swojej ukochanej sztuki i że należy wiedzieć, kiedy należy odejść, wycofać się z życia. Splakałam się wtedy, ale teraz myślę sobie, że ja wbrew wszystkiemu i wszystkim nigdy nie wycofam się z życia, że jeśli kiedyś umrę, to umrę w biegu i jeszcze do ziemi każę się zakopać pionowo, a nie na leżąco. Niedawno przeszłam ciężką operację i dlatego teraz piję dużo śmietany, na wzmocnienie organizmu, na zdobycie nowych sił. No to wypijmy tą śmietaną nasze zdrowie, bo pani też mi wygląda na taką kobietę, co jeśli padnie, to padnie w biegu. No to za te pani rzodkiewki!” — wniosła toast śmietaną organizatorka. „I za tego pani Witkacego!” — odrzekła handlarzka i obie wybuchnęły śmiechem serdecznym, zaskakującym nawet dla siebie swoją bezpośredniością, śmiechem najczyściej spontanicznym. Przepijały się śmietanowymi toastami, aż w tej radości zatoczyły się na to jedno łóżko, które już teraz wcale nie było dla nich za małe, mimo ich pokaźnych tusz. Śmiejąc się do lez prawie, wreszcie zmoczyły się tym wielkim śmiechem, zasnęły mocno objęte jak najbliższe sobie istoty, wreszcie nie tak bardzo zagonione i nie tak dotkliwie samotne, i wkrótce zdrowo, z pełnych płuc zachrapały gromko — tak jednym tchem, jak żyły jednym tchem, jak pracowały, jak kochały, jak wreszcie w tym skrajnym znużeniu posnęły — jedyną, wielkim tchem.

Ściany mają uszy

MINISTER Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska nagrodził autorów szczegółowego planu zagospodarowania przestrzennego i zrealizowanych projektów dzielnicy mieszkaniowej „Kalinowszczyzna” w Lublinie. Z tej to okazji pan Edmund Skarżyński napisał w „Kurierze Lubelskim”, że dzielnica „z brzydkiej poczwarki przekształciła się w barwnego motyla”. Spodobało mi się to odważne i świeże literacko określenie, o urodzie proporcjonalnej do wielkości wydarzenia. W drodze do pełnego szczęścia przeszkodził mi jednak fakt, że jestem jednym z mieszkańców sporego bloku spółdzielni „Kolejarz”, zlokalizowanego właśnie na Kalinie.

Nie da się ukryć: kompozycja urbanistyczna osiedli jest sensowna, a nawet wartościowa estetycznie, poszczególne budynki — znośne pod względem architektonicznym. Spojrzenie z lotu ptaka przynosi zatem dodatnie wrażenie, zjeżdżamy jednak na parter, przyjmując pozycję kuczyną, która umożliwia widzenie sprawy w perspektywie żabiej. Jest to sytuacja bardziej ludzka, jako że człowiek chodzi po ziemi, latając tylko we śnie i to nie za często. Będąc na owym parterze zobaczymy łatwo, że między projektem a realizacją mrok petoiem zalega, za co oczywiście nikt nie ponosi winy, albowiem takie są układy. I tak na przykład przysłowiowa akustyka nowych budynków została na Kalinowszczyźnie doprowadzona do perfekcji, dzięki czemu wiem sporo na temat życia rodzinnego moich sąsiadów. Z przykrością oświadczam, że jestem przeciw wokalistyce uprawianej przez córeczkę tych kulturalnych skądinąd ludzi, że w ogóle jestem przeciw jakiegokolwiek wokalistyce, a na dźwięk porannego przestawiania stolików, które reje-strują w godzinach 6.30—7.45, nachodzą mnie myśli mordercze. Znajomy z pobliskiego osiedla „Motor” nie śmie rozmawiać we własnym mieszkaniu, bo się boi pewnego pana z za płyty scalonej, który wale-

nem w ścianę zachęca do go miłczenia i pokory.

Nie można powiedzieć, projektanci osiedla zadbał o dzieci, którym wykroili spore place zabaw — pod samymi oknami ludzkich mieszkań. Wprowadza to dodatkowe urozmaicenie do szarej codzienności zapracowanych spółdzielców, którzy po robocie miast oddawać się gnuśnemu lenistwu w zaciszu mieszkania, majsterkują po piwnicach, gdzie głos nie dociera Władze lubelskiego sportu winny nagrodzić tych ludzi za wzorową realizację idei czynnego wypoczynku, który tylko z konieczności rozwija się w podziemiach, zepchnięty tam brakiem choćby metra kwadratowego urządzeń sportowych i rekreacyjnych dla dorosłych.

Pan Skarżyński pisze też dużo na temat architektonicznego piękna osiedli na Kalinowszczyźnie. „Budynki różnej wysokości przy równoczesnym dobrym wyważeniu zasad kompozycji lokalizacji punktowości, urozmaiconą rzeźbą terenu, zastosowanie murków ozdobnych... — wszystko to złożyło się na piękny obraz dzielnicy...”. Niestety, trafił tekst na prostego człowieka, który nad urodę przekłada dobro, a zimą woli chadzać w ciepłych, choć trochę niemodnych butach, mijając z dala wspaniałe pod względem plastycznym, lecz nie chroniące przed mrozem trzewiki made in Italia.

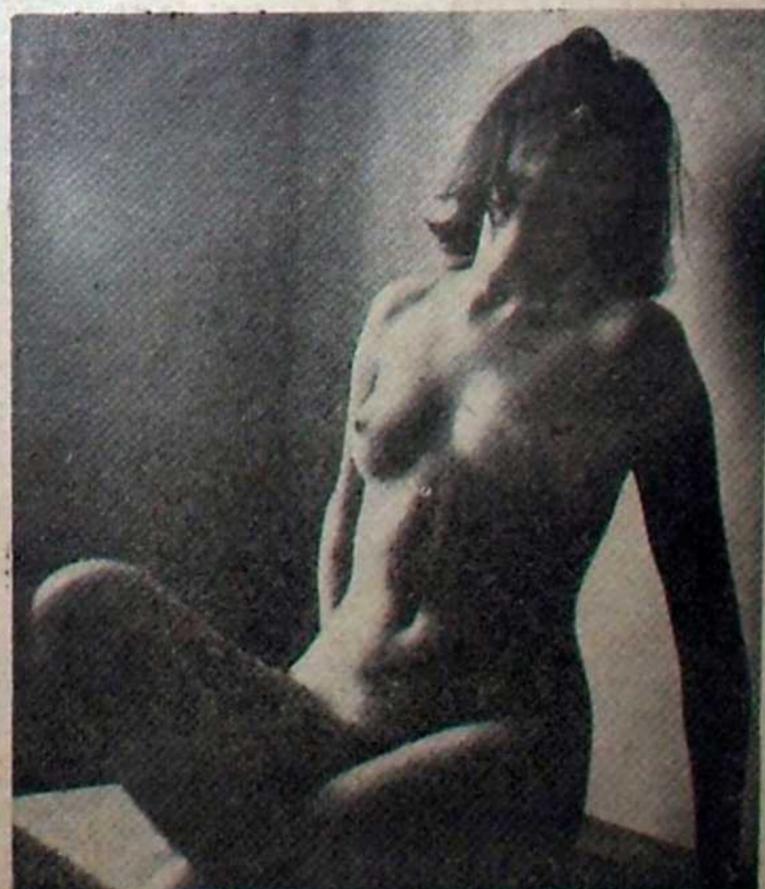
Wiadomy resort zajmuje się także ochroną środowiska, co znajduje wyraz w jego nazwie. Bardzo proszę, aby w ramach tej pozytywnej działalności znalazł się także człowiek, nawet gdy się nazywa i prowadzi jak Ireneusz Kamiński. Odnoszę bowiem wrażenie, że czasami troszczymy się o naturalne otoczenie bez świadomości celów. „Drzewko należy pielęgnować, bo drzewko żyje i jest ładne”. Tymczasem ja mam w nosie taką chędogi panteizm, ochrona środowiska nabiera dla mnie sensu tylko wówczas, kiedy prowadzi także do ochrony mojego zdrowia, spokoju i wrażliwości estetycznej. Naturalnym środowiskiem

współczesnego człowieka jest również osiedle mieszkaniowe i cztery ściany pokoju, w którym spędza kawał życia, pracując, ucząc się, jedząc, bawiąc i kochając, a także poczytując po trudach. Ten „las” urbanistyczny i ta „jaskinia” z wiekiej płyty powinny być dostosowane do moich potrzeb i warunków psychofizycznych. „Tymczasem co ja mam zrobić, kiedy wyraźnie słyszę, w jakim tempie sąsiad mój miłuje żonę swoją, szepcząc wstrząsające straszne wyznania, które zmuszają mnie do śmiechu głupiego i ucieczki z pokoju” — wyznaje znajomy, dla odmiany mieszkający w osiedlu Piastowskim LSM. Fakt, co ma zrobić? Do administracji nie pójdzie, bo głupio, prosić sąsiada

o zmianę godzin uprawiania małżeńskich zapasów — nie wypada...

Bardzo też proszę władze miejskie, projektantów, budowlanych i planistów o działanie kompleksowe. Osiedle „C” czy „D” na tejże Kalinowszczyźnie zostało pięknie zakomponowane, a mając na uwadze ów nieszczęsny spokój mieszkańców, szeroką ulicę Lenina wpuszczono głęboko w podłoże, co po części neutralizuje hałas. Nie likwiduje to przecież inwazji słodkawego fetoru, który atakuje osiedle, wydzielając się z pobliskiej rzeki Bystrzycy i góry spalających się powoli śmieci. Marzę o czasach, kiedy myślenie kompleksowe stanie się normą prawną i obyczajową.

IJK



Fot. W. Stępieł

W HISTORII teatru lubelskiego na przełomie XIX i XX w. zdarzały się sezony pozbawione występów trup osiadłych. W teatrze „zimowym” przy ul. Namieśnikowskiej (dziś Narutowicza) głównym powodem braku porozumienia pomiędzy zarządem spółki cywilnej „Teatr Lubelski” a kandydatami na entreprenierów były sprawy finansowe. Eksploatacja nowego gmachu, w wyniku usterek projektowych czy też oszczędnościowego wykonawstwa, nie była tania. Jej koszt miał ponosić dzierżawca. Dotkliwie zimno, jakie panowało na scenie i na widowni w sezonie zimowym (scena pozbawiona była sufity), powodowało wzrost kosztów ogrzewania, a nierzadko również choroby aktorów i niechęć widzów do odwiedzania teatru. Drugim czynnikiem, zaturującym już w sensie dosłownym atmosferę, były spaliny gazowe, gromadzące się w nadmiernej ilości na sali z braku dostatecznej wentylacji (oświetlenia elektrycznego teatr jeszcze nie posiadał).

Pertraktacje o pozyskanie dla miasta na sezon zimowy 1890/91 zespołu osiadłego też nie dały rezultatu. Ale taki martwy sezon można było wypełnić przedstawieniami zespołów ochotniczych lub gościnnymi występami. W interesie spółki teatralnej leżało, ażeby gościnne występy posiadały wysoką rangę, gdyż tylko takie spektakle, których ozdobą była gwiazda pierwszej wielkości, mogły choć w części zaspokoić tęsknoty finansowe właścicieli budynku teatralnego. Mierzono więc wysoko i dzięki temu w sezonie tym na scenie teatru lubelskiego wystąpiło dwoje światowej sławy artystów.

WŁADYSŁAW MIERZWIŃSKI

Był w 1891 r. u szczytu artystycznego rozwoju. Zaliczano go do tenorów bohaterskich. Debiutował w operze paryskiej w partii Raula („Hugonoci”). Potem, jak czytamy w nader pożytecznym i pięknie wydanym „Słowniku biograficznym teatru polskiego 1765—1965”, występował na wszystkich większych scenach operowych świata: w Londynie, Mediolanie, Madrycie, Nowym Jorku, Wiedniu, Petersburgu, Pradze, Turynie, Moskwie, Berlinie, Neapolu, we Wrocławiu, Gdańsku i, oczywiście, w Warszawie. Znany był z dobrego serca i wrażliwości społecznej. W 1887 r. dał koncert w rodzinnej Warszawie na rzecz budowy pomnika J. Królikowskiego, w 1891 r. zaś na rzecz budowy pomnika St. Moniuszki. Bezpośrednio po tym występie głos jego, który za dwa lata w wyniku choroby gardła i przebytej operacji miał stracić swoją urodę, podziwiali melomani Lublina.

Pierwszą wzmiankę o zamierzonej wizycie „Gazeta Lubelska” zamieściła w „Kronice miejskiej” 2 lutego. Mówi się tam o „jednym wielkim koncercie”, który zapowiedziano na 12 lutego. W rzeczywistości odbyły się dwa koncerty: pierwszy w podanym wyżej terminie, drugi trzy dni później (15 lutego). Mierzwińskiemu akompaniował znany kompozytor i pianista Henryk Melcer, który grał na specjalnie przywiezionym z Warszawy „Bechsteinie”.

Na program pierwszego koncertu złożyły się (podaje za „Gazetą Lubelską”): Adama „Noel-Cantique”, pieśń Tostiego „Ideale”, aria „Szumią jodły...” z „Halki” oraz „Sycylianka” z „Roberta Diabla”. Nie jest to wiele — pisał przed koncertem wspomniany dziennik — ale wiadomo, że Mierzwiński ulega żądaniu publiczności, jeżeli jest odpowiednio przyjmowany, i śpiewa nad program dość chętnie. Partie wokalne przeplatane były grą H. Melcera, który wykonał pięć utworów: Chopina, Verdiego, Liszta i Rubinsztejna.

Bilety zostały wykupione do ostatniego miejsca, choć w kanale przeznaczonym dla orkiestry ustawiono około 50 krzeseł dodatkowych. Jakis filantropijnie nastawiony meloman zainicjował na łamach „Gazety” licytację biletów w celu niesienia pomocy „biednej rodzinie W.” Teatr — w trosce o zdrowie artysty — został opalony dwa dni przed koncertem. Na dworcu witała i żegnała Mierzwińskiego „spora garstka lublinian”.

Program drugiego koncertu został znacznie zmodyfikowany, choć skomponowano go na tej samej zasadzie: przeplatanie partii wokalnych i fortepianowych. W części I znalazła się „Ballada” Chopina, aria z „Afrykanki” Meyerbeera, „Walc” Raffa i aria z opery „Otello” Rossiniego. Część II wypełniła „Tarantella” Leszetyckiego „Krakowiak” Moniuszki, „Scherzo” Chopina,

wreszcie „Sycylianka” Meyerbeera („Na ogólne życzenie publiczności”).

Mierzwiński bisował na obydwu koncertach. Ludwik Świeczewski, stały sprawozdawca muzyczny „Gazety”, kolega z ławy szkolnej sławnego tenora, niewątpliwie nadużył jednak w swoim sprawozdaniu z drugiego występu patetycznego tonu, czym naraził się na drwiny warszawskiego „Kurierza Codziennego”, który pisał: Mierzwiński jest wielkim tenorem, ale po co wytrawni lublinianie i piękne lublinianki

zarzucił prasie warszawskiej niktą znajomość terenu oraz paternalistyczny stosunek do gazet prowincjonalnych. Dobral się także do humorystycznych epizodów z życia publiczności warszawskiej. W tej właśnie chwili — pisał krytyk lubelski — czytam w „Kurierze Porannym”, że „o bilety na występy Modrzejewskiej ludziska staczają formalne bitwy: jakichś dwóch elegantów spoliczkowało posługacza, lecz ten obalił jednego z nich i kilkoma uderzeniami wywozajemnił się” (...) — Snadź

tylko się u nas nie bili, ale nawet nie zgnietli żadnego ze słodkich darów Bożych, którymi kontuar gęsto był zastawiony.

Taki epilog posiadała lubelska wizyta sławnego tenora, który po utracie piękna swego głosu został w Paryżu portierem hotelowym i zmarł w ubóstwie w roku 1909.

HELENA MODRZEJEWSKA

również w tym okresie była już sławną w Starym i Nowym Świecie artystką. Miała za sobą krakowską „szkołę” koźmianowską i warszawską epokę gwiazd, sukcesy odniesione na ziemi amerykańskiej i angielskiej. Gdy tylko mogła, wracała na gościnne występy do rozdartego zaborami kraju. Podczas szóstego powrotu — podobnie jak Mierzwiński prosto z Warszawy — przyjechała do Lublina. Dwukrotnie w ciągu jednego miesiąca (23 i 30 marca 1891 r.). Po pierwszym występie wyjechała do Łodzi, gdzie wzięła udział w benefisie Lucjana Dobrzańskiego. „Gazeta Lubelska” pierwsze pogłoski o możliwości przyjazdu Modrzejewskiej do koziwego grodu traktowała z dużym sceptycyzmem. W pertraktacjach o przyjazd pozytywną rolę odegrał impresario M. Magnuski. Ten chciwy grosza człowiek, który nawet szatniarzy zmuszał do dzielenia się z nim zarobionymi kopiejkami, niewątpliwie dobrze przysłużył się miastu skutecznie organizując lubelskie występy: Mierzwińskiego, Modrzejewskiej i Maurycego Bruszewskiego (24 maja 1891 r.). Natomiast nie udało mu się sfinalizować zapowiadanych występów Adolfiny Zimajer.

Stefan Kruk

Modrzejewskiej towarzyszył wybitny aktor warszawskich „Rozmaitości” — Bolesław Ładnowski. Artyści przybyli do Lublina w poniedziałek 23 marca rannym pociągiem i zatrzymali się w hotelu „Victoria”. Bilety na występ Modrzejewskiej rozchwywane zostały całkowicie tak, że kto się spóźnił, już się zapisuje z góry na drugi występ — donosiła „Gazeta Lubelska”. Warto tutaj dodać, że J. Szczublewski oraz J. Grot w swojej książce „Helena Modrzejewska” (W-wa 1958) w „Itinerarium” na stronie 66 stwierdzają: „30 marca (Modrzejewska) jeden raz występuje w Lublinie”. Jest to niewątpliwie lapsus, gdyż w tej samej publikacji na stronie 150 odnotowano również występ z 23 marca. Nie podano jednak nazwisk osób towarzyszących artystce, z programu zaś wymieniono tylko deklamacje wierszy Ujejskiego i Krasieńskiego.

Program pierwszego spektaklu składał się z deklamacji oraz z fragmentów sztuk. Na wstępie — według relacji „Gazety Lubelskiej” — Ładnowski miał wypowiedzieć „Farysa” K. Balińskiego, po czym Modrzejewska miała deklamować utwór „Hagar na puszczy” Ujejskiego („Gazeta” ta utwór ten błędnie przypisała Słowackiemu). Następnie obydwójce artyści mieli odegrać akt III z dramatu Oktawiusza Feuilleta „Dalilla”, na zakończenie zaś zapowiadano fragmenty aktu I, II i V „Makbeta” Williama Szekspira.

W poniedziałek wielkanocny (30 marca) Modrzejewska wystąpiła w Lublinie po raz drugi. Tym razem prócz Ładnowskiego towarzyszył jej młody Maksymilian Węgrzyn, który grał we fragmentach „Odetty” (Filip la Hoche) i „Adrianny Lecouvreur” (Michonet). Początkowo w rolach tych mieli wystąpić Józef Nowakowski — podówczas już nie grający w teatrze, ale mieszkający w Lublinie (prowadził tutaj restaurację) lub Julian Szelągowski, ostatecznie jednak wybór padł na młodego Węgrzyna.

Na program drugiego spektaklu złożyły się fragmenty: „Odetty” Sardou (połowa 3 aktu), „Hamleta” Szekspira (obraz 5), „Adrianny Lecouvreur” Scribe’a (akt 5). Na zakończenie Modrzejewska wypowiedziała „Pożegnanie” Z. Krasieńskiego. I tym razem „oklaskom nie było końca”. Znowu artystce wręczono wieniec, kwiaty i szarfę z napisem: „Mistrzynie słowa Helenie Modrzejewskiej, d. 29 marca r. 1891 młodzież lubelska”. Ładnowski otrzymał wieniec z napisem „Tragiczki polskiemu Bolesławowi Ładnowskiemu — lublinianie”.

Artyści nocnym pociągiem odjechali do Warszawy. Na dworcu żegnały ich tłumy wielbicieli. Młodzież od wejścia uformowała szpalę do sali, a następnie do wagonu. Żegnano tam wielką artystkę słowem składnym i okrzykami, a gdy umieszcza się już w wagonie, rozrzucano wśród zebranych garści kwiatów, które chowano na pamiątkę.

MODRZEJEWSKA JEDNAK PRZYJECHAŁA...



Fot. CAP (Archiwum)

mają tracić wszelki takt i miarę? Na co Świeczewski zareagował obszernym artykułem, w którym — przynajmniej — odplacił warszawskiemu koleźce pięknym za nadobne.

Niechaj życzliwy czytelnik wybaczy nięco przydługi cytat, który za chwilę przytoczę, ma on wszakże tę wartość, że sporo mówi jeśli nie o kulturze artystycznej Lublina z końca XIX stulecia, to z pewnością o atmosferze jej towarzyszącej. Świeczewski mianowicie

wzajemne okładanie się eleganta ze stróżem po fizjonomiach uważane jest w Warszawie za awanturę mniej poważną (...) U nas przy sprzedaży biletów na koncerty Mierzwińskiego nie ma ani „queue” ani barier, ani mocno kratowanych okienek, bo sprzedawał je nasz kochany p. Aleksander (Sema-deni — przyp. S. K.) w swej cukierni za zwykłym kontuarem, a mimo to nie było ani poważniejszych, ani nawet mniej poważnych awantur, ludziska nie

LONG PLAY O OKUPACJI

LUBELSZCZYŻNA jest nader bogata w tematy okupacyjne. Wspomnienie z lat 1939-1944 należy niejako do kanonów rozmowy, jeśli rozmówcy nie będą sobie mniej niż po pięćdziesiątce. Szczególnie na wsł. Tam każdy Zieleniak czy Boguta jest w stanie przedstawić materiał przeżyty w ilości wystarczającej na parę powieści, film, obszerny rys monograficzny, cykl gawęd. Zdumiewa również dokładność i plastyczność tych relacji. „Tu stał „Cichy”, kiedy padł pierwszy strzał z niemieckiej ciężarówki”. „Dwóm Żydom w lesie donosiła garnek z kartoflami Zośka od Patyrów”. „Mój Wojtek podprowadził oddział na Zatoce, na posterunek żandarmerii”. Tak powstaje mówiony „dziennik z lat okupacji”, obszerniejszy niż benedyktyński dokument Zygmunta Klukowskiego.

Dla pisarza zamierzającego powieściowo kształcić tych wydarzeń powstaje pytanie: ułatwia to czy utrudnia? Pytanie tylko pozornie jest retoryczne, odpowiedź może być dwójaka: ułatwia — ponieważ bogactwo realiów samo ciśnięcie na papier, utrudnia — ponieważ wierność tytuł autentycznym stawia zbyt duże wymagania. Ktoś, kto nie chce przestać na syntetycznym skrócie, ani zrezygnować z epickiej dokładności, przekonuje się w końcu, że zamierzył „Cichy Don”.

Zamierzeniem Matyldy Welny w jej ostatniej powieści „Ponad życie” jest dać obraz, możliwie pełny obraz. Widzi się jak skrupulatnym przygotowaniem został poprzedzony sam akt pisarskiej realizacji, jak dokładnie został tu zgromadzony materiał autentyczny. Właściwie wyraża się w tym również moralność pisarska. Czy można przebiegać wśród wypadków dobierając pod kątem pasuje — nie pasuje, skoro każdy z nich ma walor ludzkiego życia? Nie życia „w ogóle”, ale życia w każdej chwili mogącego być przerwany niemiecką kulą? I Welna swoim postaciom, swoim wypadkom tę wierność przyznaje.

Ale w ten sposób obraz staje się obszernym tableau, w którym wyrazistość widać gubi się w inwazji epizodów.

Powieść staje się compendium. Do potrawy dostaje się i marchewka i cynamon, smalec i wiśniowy sok. Bo tak nakazywała trojka o pełny obraz życia, a życie to przecież bogactwo treści. Na skutek tego czytelnik jest trochę zdezorientowany: nie może się zdecydować na stosunek do książki. Mimo obszerności objętości za mało ma autorskiego stanowiska w poruszonych sprawach, za mało sposobności do dyskusji na temat sposobu ich podania, natomiast odczytana wymowa książki — ilustracja okupacyjnego losu — udekomunikowana została nadmiernie rozległą egzemplifikacją.

W powieści znajdujemy wiele nazwisk autentycznych. Po co? Znowu skłonność reportażowa. Żeby niczego nie opuścić. Owszem, paru postaci już prawie historycznych nie dało się ominąć, ale nadmierna drobniawość jest balastem, który artystycznej wymowie powieści oddaje niedźwiedzia przysługę.

Zwraca też uwagę niestaranność pracy redakcyjnej. Poprzestajmy na paru przykładach. „Treuchander” (zamiast „Treuhänder”), „Tournée de Pologne” (zamiast „Tour de Pologne”), „Tylko Anglia, też zakoczona i nieprzygotowana do wojny, broń się desperacko i rehabilituje za monachijskie bandy.” „Bo Ajzyk pokazał na wystawie w zaprzestonym okienku z dwu sztybek — niszprzecjalne dzieło swego życia — wyborowego buta”. „Krew jego pozbięła”. „Nie szczędził brnatnych koszul, które zaglądały swym wrzaskiem słońcem narodu”. Chłop używa rzeczownika „protoplaści”. Karwacki (warsztat naprawy rowerów) staje się największym lubelskim fabrykantem. Mamy też błędy korektorskie jak „sławne”, kiedy chodzi o słowne potyczki i fakt, że coś tam komuś nie przychodziło „od” głowy.

Stanisław Sobolewski

„DROGI I LUDZIE”

PRZYTOCZONY tytuł rozdziału z książki Z. Kwiecińskiej dobrze oddaje problemową zawartość niewielkiego zbioru ładnie wydanych opowiadań pt. „Słoneczny przedświecie”. Zasygnalizowany motyw „drogi” i wiążąca się z nim obecność „ludzi” zostały zespolone w rozbudowanej sytuacji wędrówki, będącej najczęściej „przymusowym” powrotem (pędzonym, albo podobnym do konieczności wyjazdu z miejsc rodzinnych. Stwarza to dla autorki poetycko dogodną i epicko rozległą (a historycznie niezobowiązującą) perspektywę widzenia zmieniających się obrazów wojennych zniszczeń, dokonywanych przez Niemców aktów terroru i represji oraz możliwości wiarygodnego przekazywania zachowań ludności, zwłaszcza w zetknięciu się z wędrującymi osobami, które cierpiąc głód i czując fizyczne wyczerpanie, raz po raz zmuszone są ośrość o pomoc, a te u ludności wiejskiej z trudem mogą otrzymać. Dzieje się tak zwłaszcza w reszle początkowych kilku rozdziałów, w rozbudowanym szkicu mówiącym o męczą-

cym powrocie z Kutna do Lublina uwolnionych — z chwilą rozpoczęcia wojny — więźniów politycznych.

W drugiej części książki akcja opowiadań przenosi się na wschód Polski, a po uderzeniu armii hitlerowskiej na ZSRB — na tereny Związku Radzieckiego. Np. w szkicu „Miasteczko” widzimy przybyłą ze Lwowa grupę młodych osób, które zaczęły pracować w miejscowej fabryce, przystosowując się do tamtejszych warunków, a po wybuchu wojny zostają ewakuowane wraz z urządzeniami zakładu na bliżej nie określone miejsce Syberii.

Z. Kwiecińska odpowiadając na postawione sobie pytanie, dlaczego pisze „o wydarzeniach małych i ludzkiej przeczności” — pospiesznie — postuluje się znaczącą metaforą „drogi” — stwierdza: „Po prostu wydaje mi się, iż należy uchronić przed zapomnieniem bożnie ścieżki, błędnie wśród głównych gościńców, i ludzi, którzy ścieżkami tymi wędrowali”.

Tadeusz Polanowski

„SNY I PRZEBUDZENIA”

ZDARZENIA wojny w ich jednostkowo-historycznym tragizmie w powieści Tadeusza Czajki uzyskały o wiele bardziej bezpośredni obraz. Bohaterzy, oglądani na tle wcześniejszego i późniejszego życia rodzinnego, czynnie uczestniczą w zbrojnej walce pamiętnego września 39 r., m. in. pod Kłobuckiem, w drodze przed linią Kielce-Skarżysko, wreszcie w obronie Warszawy, a następnie są jednymi z uczestników szeroko rozwinętego ruchu oporu na Zamojszczyźnie, w Warszawie i w końcu w oddziałach 27 dywizji wolińskiej.

Akcja „Snów i przebudzeń” mimo istnienia ubocznych wątków toczy się warte, bohaterzy zyskują indywidualizowane psy-

chologicznie oblicze, czytelnik zaś otrzymuje stosunkowo szeroką panoramę historycznych zdarzeń, w których równie ważnym dla autora problemem są, obok np. sposobów rozegrania partyzanckiego starcia, męczące bohaterów moralne zagadnienia: dobra i zła, winy i odpowiedzialności, zabójstwa i wojennego przymusu zabijania.

Tadeusz Polanowski

Matylda Welna: „Ponad życie”. W. Lubel. Lublin 1973, str. 401, cena 28 zł.

Zofia Kwiecińska: „Słoneczny przedświecie”. W. Lubel. Lublin 1973, str. 146, cena 10 zł.

Tadeusz Czajka: „Sny i przebudzenia”. W. Lubel. Lublin 1973, str. 201, cena 14 zł.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

* * *

Gdzie mój wiersz — płakał Staś Grochowiak nie należy żalować niewdzięcznika powiedział Rysio pięć minut temu pożyczylem mu pasek od spodni a teraz pokazuje nam język

Nie uczestniczyliśmy w pogrzebie wiersza naciągnęliśmy na uszy pierzyny wieczoru i rozmawialiśmy o celach sztuki i medycyny

Nastają chłodne dni i słomkowy kapeluszy nie będzie potrzebny przydałaby się natomiast jakaś kobita Powiedział Rysio

a wiedziałem że myślał o białych piersiach pani sklepikarzewej zapląłem koszulę usiłowałem zasnąć pachniało kapuśniakiem

Sennik egipski

— 2 —

Anioł ulatujący — zawiedzione nadzieje.
Anioł modlący się — przejściowe kłopoty.
Aniołów chór śpiewający — spełnione życzenia.
Anioł Pański — odmawiać — rodzinne kłopoty.
Anioł Pański — słyszeć dzwon — choroba w domu.
Anons czytać — wesole nowiny.
Antychryst — przykrości od zwierzętnika.
Antykwariat — rady od starszych osób.
Antykwarisz — oszustwo.
Apartamenta mieć — zmiana w życiu.
Apartamenta zwiedzać — nowa znajomość, która przyniesie ci duży miłośnik w życiu.

Aparaty różne widzieć — szczęście w interesach.
Apetyt mieć — niezadowolenie przez chciwość.
Apetytu brak — nieprzyjemności przez oszczędność.
Apostola widzieć — błogosławieństwo w domu.
Apostolem być — spełnione zamiary.
Apatia — poważna choroba.
Aplikant — złośliwy przyjaciel.
Apteka — dłuższa choroba.
Aptekarza widzieć — nieoczekiwany spadek, podarunek.
Arabski koń — dobre interesy, ale nie stałe.
Arak pić — zdrada i podstęp przyjaciela.
Arbuz — zdrada bliskiej osoby.
Architekta widzieć przy pracy — otrzymanie dobrej propozycji.
Architekturę podziwiać — nowe projekty.
Arcybiskup — zaszczyt, wyróżnienie, szacunek.
Arcyksiążę — być nim — wielkie nieprzyjemności.
Arcyksiążę — widzieć go — nieszczęście.
Arcyksiążę — rozmawiać z nim — wyróżnienie, zaszczyt.
Aresztantem być — upokorzenie.
Aresztanta widzieć — upokorzysz nieprzyjaciela.
Arlekin — śmiech przez łzy.
Armata — oszczerstwa starej kobiety.
Arsenal — niezgoda, kłótnia.
Artyleria — przelotna zabawa.
Artylerzysta — niebezpieczna znajomość.
Artysta — wesole towarzystwo.
Artystą być — wykonanie trudnego zadania, które ci da zadowolenie.
Arystokrata — lekkomyślny wydatek pieniędzy.
Arytmetyka — uczyć się — rozwiążesz trudny problem.
Astronoma widzieć przy pracy — śmierć w rodzinie.
Astronomem być — powiększenie w rodzinie.
As karo — ważny list; zawód.
As kler — walka z przeszkoćdami.
As pik — intrygi; zgryzoty z powodu złych ludzi.
As trefl — wesołość w domu; spełnienie życzeń.
Asekuracja — dobre pociągnięcia w interesach.
Astya — koniec miłości; zerwanie przyjaźni, nieporozumienia.
Atlas — podróż.
Atlas — ważna wizyta.
Atrament — zmartwienie.
Atrament rozlany — wiadomości z daleka.
Ataki wojenne widzieć — urzędowe zawiadomienie.
Ataki konwulsyjne mieć — kłótnia w rodzinie.
Atleta — przewyciężenie trudności.
Audiencja — być na niej — poprawa losu.
Auto — ważne wiadomości.
Auto mieć — poważne sprawy odsuną cię przejściowo od domu.
Autom jechać — spełnienie wytkniętych celów.
Automat — bezmyślne wykonanie czegoś, co w następstwie przyniesie ci pewne korzyści.
Autora widzieć — straty.
Autorem być — dowiesz się wiele ciekawych rzeczy.
Ave Maria — śpiewać — doznanie szczerzej przyjaźni.
Ave Maria — słyszeć — ktoś o tobie myśli.
Awans — podstęp złych ludzi.
Awantura — niespodziewana zabawa.
Awanturnik — cudza zazdrość wyrządzi ci wiele przykrości.
Awanturnica — kobiece intrygi weciągną cię w niemłą sprawę.

B

Baba stara — niepowodzenie
Babka — dobre wieści
Bać się — zawiedziesz się na przyjacielu
Bachantka — niezadowolenie z postępów przyjaciółki
Badać kogoś — zmiana pracy
Badanym być — nieprzyjemne wydarzenie
Badyle zeszle — daremne wysiłki
Bagaże — porozumienie z miłą osobą
Bagaże zabierać — utrata pracy
Bagnet — gniew
Bagno widzieć — plotki
Bagno — brodzić w nim — nieszczęście
Bajki opowiadać — nierealne pomysły
Bajek słuchać — nieszczerne, niedobre rady
Bakterie — niebezpieczne towarzystwo
Bal — tańczyć z muzyką — smutek
Bal bez muzyki — dobre samopoczucie, zadowolenie
Bale drzewa — dobre i pewne interesy
Balet — złudne marzenia
Baletnica — towarzystwo lekkomyślnej osoby, która ci przyniesie rozczarowanie
Baldachim widzieć — przestroga przed grzechem
Baldachim nieść — zaszczyty
Balkon — wielkie nadzieje na zrealizowanie zamiarów
Balkon — spaść z niego — wszystkie zamiary na nic
Balon — niepewne propozycje
Balon opadający — interes nie uda się
Balonem wznosić się — dobry interes
Bałwan ze śniegu — niestała miłość lub niestała przyjaźń

(Dalszy ciąg nastąpi)

Literatura

Jan Maria Gligo, wieloletni sekretarz ZG ZLP, obchodził 60 rocznicę urodzin oraz 40 rocznicę debiutu literackiego. Urodził się w Nisku woj. rzeszowskiej. Wkrótce ukazuje się jego nowa powieść pt. „Przebieg cieni” o współczesnych przemianach społecznych wsi związanych z industrializacją rejonu Piastczy Sandomierskiej.

W warszawskim Muzeum Literatury odbył się wieczór poświęcony pamięci Juliana Tuwima.

Laureatem dziesiątego konkursu o „Złoty Kossak” został Wojciech Zukrowski za powieść „Kamienne tablice”.

W konkursie na powieść współczesną dla młodzieży i nagrody nie przyznano. Dwie drugie otrzymał Janusz Olszak ze Skwierzyny (poprzednio z Lublina) za „Pierwszy i ostatni rok w nowej szkole” oraz Stanisław Boreja z Ursusa za „Jazda i my”.

W Krakowie odbyły się pierwsze Dni Poezji, w czasie których prezentowano utwory poetów żyjących jak i zmarłych po wojnie, ponadto odbyły się spotkania i dyskusje z twórcami i krytykami.

W dniach 10 i 11 lutego odbyły się w Warszawie V Krajowy Zjazd Korespondentów Klubu Młodych Pisarzy, działającego przy ZG ZSMP.

Duże wydawnictwo włoskie „Edizioni Paoline” rozpoczęło wydawanie serii pt. „Dziela, które tworzą kulturę”. W serii tej ukaza się także: Sienkiewicz — Trylogia i „Kryzysy”, „La casa Prusa”, „Panienka z okienka” Deotymy oraz „Nienasyceń” St. I. Witkiewicza.

Jan Pilarz, czeski poeta i tłumacz naszej poezji, który niedawno był w Polsce, przystępuje w języku czeskim auto-

logię 10 polskich poetów, którzy debiutowali w czasie i po wojnie.

W Belgii ukazała się antologia klasycznej poezji miłosnej, obejmująca liryki napisane w języku francuskim od Villona do Verlaine’a. Całość wydano w 4 małych tomikach oprawionych w jedwab i umieszczonych w ozdobnej kasce. Wyława przeznaczona jest „dla młodych i zakochanych”.

Teatr

Teatr Nowy w Poznaniu zaczyna realizację pełnej roli wielofunkcyjnego ośrodka kultury. Poza przedstawieniami zorganizował już w hali galerię prac plastycznych, ostatnio rozpoczął serię koncertów poetyckich. Na pierwszym przedstawiono wiersze Józefa Batajczaka w recytacji aktorów przy muzyce fortepianowej i skrzypcowej.

Stanisław Hebanowski wyreżyserował w gdańskim teatrze „Wybrzeże” sztukę kruszeńskiej „Sen”, która ostatni raz była wystawiana jeszcze przed wojną w Poznaniu i wtedy uznano ją za sztukę awangardową.

Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki wraz z Min. Zegluga i Min. Budownictwa ogłosiło konkurs otwarty na sztukę teatralną o tematyce morskiej, portowej i stoczniowej. I nagroda 30 tys. zł. Prace należy nadsyłać do GTPS, Gdańsk, ul. Długa 57, do 28 listopada.

Założony przez Brechta teatr „Berliner Ensemble” obchodził 25-lecie istnienia.

Z okazji 30-lecia wyzwolenia kraju, w roku bieżącym na scenach Rumunii odbędzie się ponad 150 premier klasycznych i współczesnych dramatów rumuńskich. Niezależnie od tego pokaże się 116 utworów zagranicznych, z których połowa to sztuki współczesne.

W paryskim teatrze „Moderne” odbyła się premiera nowej sztuki Ionesco — „Le formidable bordel”, przy czym ostatnie słowo oznacza tu nie klasyczny przybytek, a nowego rodzaju anarcho-panuśca w świecie. Sztuka jest przeróbką jego powieści „Le Solitaire” („Samotnik”). Krytycy zarzucają autorowi, że zajął postawę bierną wobec przedstawianych sytuacji.

Polski Teatr Tańca w Poznaniu, pierwsza i jedyna tego rodzaju placówka w naszym kraju, rozpuścił działalność premiera „Epitafium dla Jana” z choreografią i opracowaniem muzycznym jego dyrektora, Conradu Drzewieckiego.

Sztuka

W obecności ambasadora PRL otwórzono w akademii San Carlos w Meksyku wystawę polskiego plakatu.

Maja Plisiecka po transpozycji na język taneczny „Anny Kareniny” przystąpiła do pracy nad „perłą dramaturgii rosyjskiej” — jak się wyraziła — „Czajka” Czecnowa.

Na ołbrzymich glazach wokół jeziora Issyk-Kul w Kirgizji odkryto 200 rysunków, pochodzących sprzed ponad dwóch tysięcy lat. Na rysunkach dominują dokładne sylwetki ludzi, chociaż nie brakuje roślin i zwierząt.

Doroczne holenderskie nagrody ERAZMA 1974 otrzymali: brytyjska choreografka Ninette de Valois w dziedzinie tańca klasycznego oraz Maurice Bejart, twórca „Baletu XX wieku”, za osiągnięcia w balecie współczesnym.

W Kairze otwarto wszystkie muzea, które zamknięto po wybuchu ostatniej wojny w październiku ub. roku.

Muzeum Narodowe w Poznaniu eksponowało wystawę dzieł Tytusa Czyżewskiego, współtwórcy formizmu.

Muzyka

Sami młodzi aktorzy grają w musicalu „Cztery pancerni i pies”, wystawionym w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Libretto napisał Maria i Janusz Przymanowscy, muzykę skomponował Benedykt W. Konowski.

Feliks Rączkowski dał koncert muzyki organowej Feliksa Nowowiejskiego w paryskiej Katedrze

Noire Dame. Było 1 tys. słuchaczy.

Tegoroczny, piąty z kolei, Międzynarodowy Festiwal Młodych i Złoty Kossak odbył się w Warszawie w dniach od 11 czerwca do 1 lipca. Koncerty i konkursy symfoniczne przewodził Mirosław Białkowski. W konkursie tym ważne udział około 200 uczestników.

Z okazji przypadających w tym roku 100 rocznicy urodzin Bedřicha Smetany, 100 rocznicy urodzin Jozefa Suka i 100 rocznicy urodzin Jozefa Suka i 100 rocznicy urodzin Wacława Jana Tomáška, w ramach tegorocznych obchodów kulturalnych pod auspicjami UNESCO widnieje m. in. rok Muzyki Czeskiej.

W ostatnich „Staatsoper” odbyła się premiera opery jednego z najbardziej znanych kompozytorów NRD, Paula Dessa — „Kriemhild”. Libretto napisał Karl Mickel.

Brytyjska grupa muzyczna wokalistka Moody Blues, uprawiająca muzykę pop, została zaproszona na tournée do Chińskiej Republiki Ludowej.

Film i telewizja

Pa „Czerwonych beretach” i „Ostatnim po bogu” mamy trzeci polski film o współczesnym wojsku — „Na niebie i na ziemi” reżyserii Juliana Dziedziny. Jest to film o lotkach, a więc sam temat jest już niezwykle atrakcyjny.

Mimo to 20 lat od powstania Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych. Pierwszym obrazem który tam powstał, był film „Niedaleko Warszawy” reż. Marii Kaniewskiej. Obecnie skierowano do produkcji 150 film. Trwa rozbudowa wytwórni.

Na inaugurację 18 roku istnienia Amatorskiego Klubu Filmowego w Nowej Hucie Jerzy Ridan, członek tego klubu, zdobył na międzynarodowym konkursie w Głogowie główną nagrodę w kategorii filmów społecznych na „Zielone słońce”.

Z okazji 50-lecia istnienia wytwórni „Mofilm” odznaczona została Orderem Rewolucji Październicowej.

Telewizja węgierska nadała sztukę Miodraga Hleca pt. „Człowiek, który zatrzymał słońce”, poświęconą Kopernikowi.

Francuski reżyser Pierre Vézina zrealizował film dokumentalny o zmarłym niedawno wiel-

kim wiołoczele Pablo Casalsie.

„Erotyczne noce Alfreda da Musseta” — to tytuł nowego filmu, nagranego we Francji. Na ekranie m. in. George Sand.

Różne

W Berlinie przeżywała delegacja Zarządu Głównego ZLP 40-lecie J. Tuwima — obchody w czasie, która podpisała umowę o współpracy ze Związkiem Literatów Włt. Przewodząca m. in. Władysław Stajduka młodych tłumaczy, a także wymagalą materiałów czasopiśmiennych.

W Bydgoszczy rozpoczęto budowę gmachu dla opery i o. cześci, będzie to trzech, po warszawie i Łodzi, największy tego rodzaju teatr w Polsce. Bala pomieszczeń, tysiąca widzów, kameralna 200, budowa zakończy się pod koniec 1974 roku.

Na renowację zabytków Krakowa w ostatnie 12 lat wydatowano 1,1 mld zł. Generalnym remontem objęto 263 obiekty, pracami zabezpieczającymi 1000 budynków.

Lubliniana

WDK i ZW TWP uruchomiły w Lublinie pierwszą w kraju wytwórnię przeczocy, które będą stanowiły uzupełnienie i ilustrację wygłaszanych prelekcji. Placówka ta będzie obsługiwała także inne województwa.

Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna otrzymała medal Państwowej Komisji Edukacji Narodowej, przyznany przez ministra Oświaty i Wychowania za osiągnięcia w propagowaniu historii i roli tejże Komisji.

Muzeum Wsi Lubelskiej dysponuje dotychczas zaledwie jednym obiektem, modrzewiowym dworkiem Wincentego Pola, ale w magazynach zgromadzone już około 3,5 tys. eksponatów.

Do końca marca w Lubelskiej Bramie Krakowskiej czynna jest wystawa 49 prac ze zbiorów Muzeum Okręgowego pt. „Pejzaż w malarstwie polskim XIX i XX w.”

Klub Polskiego Związku Gluchych „Ges” z Lublina po raz drugi z rzędu zdobył pierwsze miejsce we współzawodnictwie placówek kulturalnych PZG. Gratulujemy!

notki

W Oxfordzie zmarł przedwojenny profesor prawa na Uniwersytecie Warszawskim, Eugeniusz Jarra. Za moich czasów oblał on na egzaminie całkiem pokazną liczbę studentów, którym zadawał tylko jedno pytanie: co pan widzi po wejściu na szczyt kolumny Zygmunta? Należało odpowiedzieć prawniczo: przedmioty i podmioty prawa, a nie gadać o Zamku, Wiśle, Pradze czy spacerujących kobietach.

Jeśli wierzyć Markowi Garzteckiemu, który znakomicie (chyba) orientuje się kto, z kim i dlaczego śpiewa i gra lub nie w angielskich zespółach („Przechrój” nr 1503) — „po sukcesie naszych piłkarzy na Wembley przeprowadzono badania, które wykazały masowy spadek zainteresowania piłką nożną wśród młodzieży na rzecz muzyki beatowej”. Gdy wygrają nasi lekkoatleci, zapewne nastąpi wzrost zainteresowania muzyką operową. Oto do czego zdolni są Polacy — przynajmniej zdaniem pana Marka G.

Janusz Majewski, ostatnio reżyser adaptacji filmowej „Zazdrości i medycyny”, w rozmowie z Alojzym Michalskim („Nadodrże” nr 2) wyznał odważnie, że ma już dosyć przenoszenia na ekran literatury i tęskni do oryginalnego scenariusza. Dodał jednak natychmiast: „Ale zanim to się stanie, dwa utwory literackie padną jeszcze moją ofiarą. Jest to więc może mój pierwszy krok do wyrwania się z kręgu literatury”. Ciekawe, który z pisarzy po Kąkolewskim („Zbrodniarz, który ukradł zbrodnię” i Merimee („Lokis”) padnie jeszcze ofiarą Majewskiego. W każdym razie gratulacje za samokrytykę.

Już przeszło rok istnieje w Zamościu Dyrekcja Odnowienia Zabytków Zespołu Miejskiego, jej adres i numery telefonów znalazły się nawet w nie grzeszącej aktualnością ostatniej książce telefonicznej. Ale dyrektora wciąż nie ma. Władze miasta uważają, że nikt z miejscowych na to stanowisko się nie nadaje, natomiast z zewnątrz nie chce przyjąć nominacji.

„Politechnika Gdańska opracowuje projekt — donoszą „Fakty 74” (nr 4) — szybkiej kolei miejskiej dla Bydgoszczy. Kolej łączący będzie dwo-

rzec PKP z dworcem PKS”. Bydgoszcz jest tylko nieco większa od Lublina, można więc mieć nadzieję, że jakaś Politechnika też zlituje się nad nami. Dworzec PKS na Podzamczu został zlokalizowany rzekomo tymczasowo, ale od lat się tam rozbudowuje i umacnia.

Wciąż jeszcze niezbadane są wymysły biurokracji. Znajomy odbierał w lubelskiej bazie „Polmo-Behamot” samochód „Fiat 125p”, kupiony za oryginalne dewizy. Okazało się, że jeżeli odbierze przed 31 stycznia, dostanie 110 dolarów bonifikaty. Ale podobał mu się samochód w wykonaniu eksportowym dla Finlandii, za co zażądano dopłaty 50 dolarów. Znajomy oświadczył, że wobec tego zamiast 110, dostanie 60 dolarów bonifikaty. Okazało się, że nieprawda. Dopłatę należało uścielić natychmiast, natomiast na bonifikatę poczekać dwa tygodnie. No i do transakcji nie doszło, bo znajomy nie chciał popełnić przestępstwa dewizowego i szukać dolarów na czarnym rynku.

Redakcja łódzkiej „Odgłosów” została rzekomo zasypana pytaniami czytelników z całej Polski, czy prawdą jest, że reżyserzy filmowi żyją ze swoim aktorami? W nr 4 znajdujemy taką odpowiedź: w filmie oświatowym zdarza się to z reguły bardzo rzadko; w filmie dokumentalnym jest to niemożliwe; o filmach kukielkowych redakcja nie wspomina, bo nie chce uchodzić na świntucha; w filmie fabularnym zdarza się. Winstując znajomości tematu i precyzji w odpowiedzi, niepokoi mnie tylko sprawa filmu kukielkowego.

W jednym z ostatnich numerów stycznia „Trybuna Ludu” wypominała kilku „prowinjonalnym” pismom społeczno-kulturalnym, że prześcigają się w publikowaniu fotografii nagich kobiet. Trochę prawdy w tym jest. Ale chyba warto rozzerknąć się uważniej na bliższym podwórku. Oto warszawski „Tygodnik Kulturalny” w nr 1 opublikował sterdy pod następującymi tytułami: „Steroidy, które zmieniają pleć”, „Kryminalno-seksualny dreszczyk w purytańskiej Meksce filmu”, „Miłość i odpowiedzialność partnerów”, „Matczyńska psychodrama”, „Erotyzm dzieci i młodzieży”, „Zazdrość — czy konieczność?”, „Grzech tajemny”, „Pieszczoty, pocałunki...”, „Trzeci odcinek „Wychowania seksualnego z granicą”, „Poglądy na konieczność wychowania seksualnego”, „O potrzebie badań naukowych z zakresu zachowań seksualnych” oraz drugi odcinek moeno świntuszacego opowiadania Gabriela Garcii Marquez „Sto lat samotności”. I to wszystko lektura nie na sto lat, ale na jeden wieczór.

ekran i widz

Kobieta czy wybryk natury?

Bohaterka filmów „Women in love” i „Boy Friend”, Glenda Jackson, opowiada o reżyserach, z którymi pracowała i o sytuacji aktorek w Anglii.

Zły reżyser sam wąpli w własny autorytet. Rzuca chaotyczne rozkazy, żądając natychmiastowego ich wykonania. Dobry reżyser wspólnie z aktorem dąży do celu, jakim jest udany spektakl czy film. Przez 4 lata pracowałam w Grupie Eksperymentalnej Petera Brooka. Odeszłam, bo groziła mi klaustrofobia. Tam, choć w grupie, każdy pracuje samotnie, dla siebie. Aktorzy dochodzą tam do tego, że jeżeli publiczność źle ocenia spektakl, to sądzi się, że była to głupia publiczność.

Ken Russell, reżyser „Women in love”, umie stworzyć klimat twórczy. Rozumie aktora, niezgo starsza się nie narzucać. Przywiązuje wielką wagę do epoki historycznej, w przeciwieństwie do Petera Brooka, który uważa się za „artystę ponadczasowego”, ceniącego tylko doznania psychiczne. Dobrze się pracuje ze Schlessingem („Une manche comme les autres”). Był sam aktorem i pozostał nim. Studiuję on psychikę postaci i dokładnie określa scenę, ale — gdy widzi, że coś nie wychodzi, zmienia koncepcję. To o wiele lepsze dla aktora, niż konieczność naginania się do sztywnego planu.

Glendę Jackson publiczność zobaczy wkrótce w dwóch filmach „Triple echo” i „Touch of class”. Opowiada o drugim: — „Touch of class” to niemożliwy film z modernistycznymi akcentami, lecz w pełni zgodny z obowiązującą moralnością. Przecież tak już jest, że ludzie mogą się zgodzić z tym, że kobieta proponuje męż-

czyźnie przelotny romans bez konsekwencji, jeżeli w grę wchodzi pieniądze. Kobieta taka — według obowiązujących konwencji — powinna być chociaż rozczarowana. I to jest postęp, bo przed 10 laty musiałaby być zszereżoną ofiarą wypadku czy katastrofy. W każdym razie, jeżeli pokazuje się kobietę, kierującą własnym życiem, to kobieta taka musi być ukazana jako istota twarda. W żadnym razie nie może wygrać.

Od lat stosunek do kobiet nie uległ zasadniczej zmianie. Za każdą swobodę — kobieta musi ponieść karę. W Anglii, jeśli w rodzinie jest syn i córka, to wszelkie wysiłki i pieniądze inwestuje się w to, by chłopiec wspiął się na wyższy szczebel społeczny. Dziewczyna może czekać na „korzystne” zamążpójście. Większość kobiet wie, że liczne małżeństwa są gorsze od samotności, lecz nie potrafią wyzwolić się ze śmiesznego mitu, że jeżeli w wieku 25 lat nie ma się męża i dziecka, to znaczy, że coś jest nie w porządku, że kobieta ponosi za to winę. W W. Brytanii wynika to m. in. z przyczyn ekonomicznych, z nierówności kobiet i mężczyzn wobec prawa. Prawo to popiera właściciel, a właścicielami są mężczyźni. Stosunek do kobiet pełen jest hipokryzji: gdy wdowa z dzieckiem pracuje, to jest to „mała bohaterka”, poświęcająca się dla dziecka. Inaczej jest z rozwódką — ta wszystko, co robi, musi robić źle. Lecz kobieta, która pracuje dlatego, że lubi uprawiać przez siebie zawód, uważana jest za wybryk natury. Obowiązkiem kobiety jest mieć dzieci i zajmować się nimi.

W teatrze i filmie kobiety są nieco lepiej traktowane, co wynika z tego, że i wobec aktorów mężczyzn społeczeństwo ma stosunek pełen ojcowskiej pobłażliwości. Aktorka ma inne trudności w wykonywaniu zawodu. Jeżeli jest ładna, musi grać rolę „zmysłowej”, jeżeli uważa się ją za inteligentną — dostaje rolę intelektualistek. W obu przypadkach jest elementem dekoracyjnym, uwypuklającym postać głównego bohatera, mężczyzny. Wszystkie angielskie literackie postacie kobiece, pozytywne czy negatywne, stanowią wykładnik wiedzy mężczyzny o kobiecie. Autorów interesuje tylko kobieta królowa lub męczenniczka...

Usiłuję kierować własnym życiem, ale nie jest to łatwe, bo weszło ono w schemat w chwili, gdy postanowiłam być aktorką.

Odpowiedzi redakcji

A. C. Olszyna. Jest dość trudno ustalić właściwy stosunek do nadeślanego utworu. Odrzucić nie można, bo wyraża pewien zajmujący uwagę ruch wyobraźni. Zaakceptować nie, bo wyobraźnia jest chaotyczna, anarchiczna, niefunkcyjna. Ma się wrażenie, że autor zamierzał swój samar na etapie szkicu, wrażenie niedosytu — oto co pozostaje na pewno jako rezultat lektury.

N. M. Hamorska dość udana, ale banalna. Nie znaczy to, że ciociębyśmy otrzymały rozprawę filozoficzną, nie jakiś problem nawet w tej formie powinien być poruszony.

M. G. Kołce. To jest błąd współczesnej poezji: postawa nihilistyczna. Im gorzej autor o sobie powie, tym — przypuszczalnie — będzie prawdziwszy. Pan o swoim wierszu pisze, że powstał z dębiana w nosie. Oczywiście będzie Pan republikanem, że to tylko chwyt, posłużenie się środkiem. Właśnie. Błądem współczesnej poezji jest przekonanie, że świat jest skądś inny, czwójkę niski, a pisać inaczej — to kłamstwo. Krytycyzm poprzestający na negacji to tylko połowa światopoglądu.

K. S. Biała Podlaska. Z zadowoleniem otrzymaliśmy wiadomość o tym jak pańskie utwory są przyjmowane przez Pana znajomych. Niestety wydrukować ich nie możemy, ponieważ nie posiadają tych cech, które są wymagane w druku.

A. G. Janów Lubelski. Z lektury pańskich wierszy odnosi się dziwne wrażenie: że sprawność warsztatowa jest przekodą w formowaniu intelektualnej treści wiersza. Występuje autonomicznie, nie spełnia roli służebnej. Nawet wymyka się spod kontroli autora. Ta „latwość słowa”, ta „łatwość wyobraźni” musi zostać ujęta przez zamysł kompozycyjny, inaczej pozostanie sprawnym funkcjonowaniem maszynery — nie wytwarzającej żadnego produktu.

G. O. Opole Lubelskie. W nadesłanym opowiadaniu mamy mnóstwo szczegółów, wypadków, postaci — łok nazwisk i wydarzeń. Niestety nie wynika z tego żadna myśl. Nie wiemy w jakim celu zostało to napisane. Utwór literacki nie spełnia roli jako fotografia. Nawet tak pomysłany reportaż może nie być wystarczający. Cóż doniosło tekst, w którym nie faktografia gra zasadniczą rolę.

W. K. Włodawa. Konwencja noweli filmowej jest wyraźna i łatwa do uchwycenia: tekst literacki ma być propozycja dla kamery, więc słowo powinno być pomysłane pod kątem jego przeniesienia w obraz. Z całym spokojem można sobie darować opisy nastrojów, a nawet otoczenia zewnętrznego, bo kamera to ujmie po swojemu, co najwyżej można zamieścić na ten temat kilka słów informacji. Nie znaczy to, że nowela filmowa jest tylko stopniem pośrednim do filmu i po jego nakręceniu traci rację bytu. Owszem, zachowuje się jako odrębny gatunek, ale jej językiem jest język obrazowy, ma przemawiać do oka, nie tyle dać się czytać, co dać się widzieć. W pańskim utworze ta elementarna zasada nie została uwzględniona, skutkiem czego utwór utracił stylizacyjną klarowność.

S. B. Częstochowa. Zasadniczym warunkiem udanego wiersza jest jednak autentyczność przeżycia. Piszę „jednak”, ponieważ istnieje opinia według której wiersz nie jest świadectwem spowiedzi autora, a jest wartością zależną wyłącznie od umiejętności operowania słowem. W tej opinii jest racja ale racja niepełna. Świat autentycznych przeżyć autora jest nieodzowny dla powstania dobrego wiersza, a brak owych przeżyć sam łatwo się dekonspiruje. W tym wypadku wiersz brzmi pusto, coś takiego można powiedzieć o nadesłanych nam tekstach. Nie są to wiersze, ale ćwiczenia na zadane tematy.

A. R. Puławy. Skłonność do nadmiernej obfitości nianis bywa dla początkujących poetów zgubna. Nie dać czasu na krytycyzm, i w Pana tekstach widać tę metodę powielaczową. Następny wiersz nie jest krokiem naprzód, jest powtórzeniem. Radzimy przysłać na pewien czas zrezygnować z tego ilościowego nadmiaru na rzecz refleksji i pogłębienia.

P. O. Lublin. W wierszu nie ważny jest onis. Cóż z tego, że opisał Pan peizaż wieki nie widząc go w rzeczywistości? W najlepszym razie świadectwo to dodatkowo o niepełnej umiejętności plastycznego widzenia w wyobraźni, ale wierszowi żaden stać nie może. Wiersz waży do niego tym, co autor weń wlewa od siebie samego. A do tego nie potrzeba odrywać rzeczywistych czy fikcyjnych podrząw po kontynencie. Potrzebna jest podróż w głąb człowieka. Nie chęć bycia „jednak” zlecherem. Nadeślane materiały świadczą o braku talentu. Prosimy coś jeszcze kiedyś przysłać.

KRZYŻÓWKA nr 3

Poziomo: 1. budynek przy pałacu dla strażaków, 6. gryzoń — symbol oszczędności 11. obraz z układanych kawałków kamieni, 12. władza kapłanów, 13. rada ministrów, 14. warszawski tygodnik ilustrowany, 15. konieć wysegu, 16. przynosiła mleko do domu, 17. cienkie płótno, 18. podoficer w marynarce, 19. przeciwieństwo dobra, 20. gol, 21. czasopismo literackie wychodzące w Lublinie w latach 1924-25, 22. górski dopływ Wisły, 23. pirat, 24. część świata, 25. muza tragedii, 27. poeta Słowackiego, 28. początek ustępu w druku, 29. komisję przyjęcia robót budowlanych.

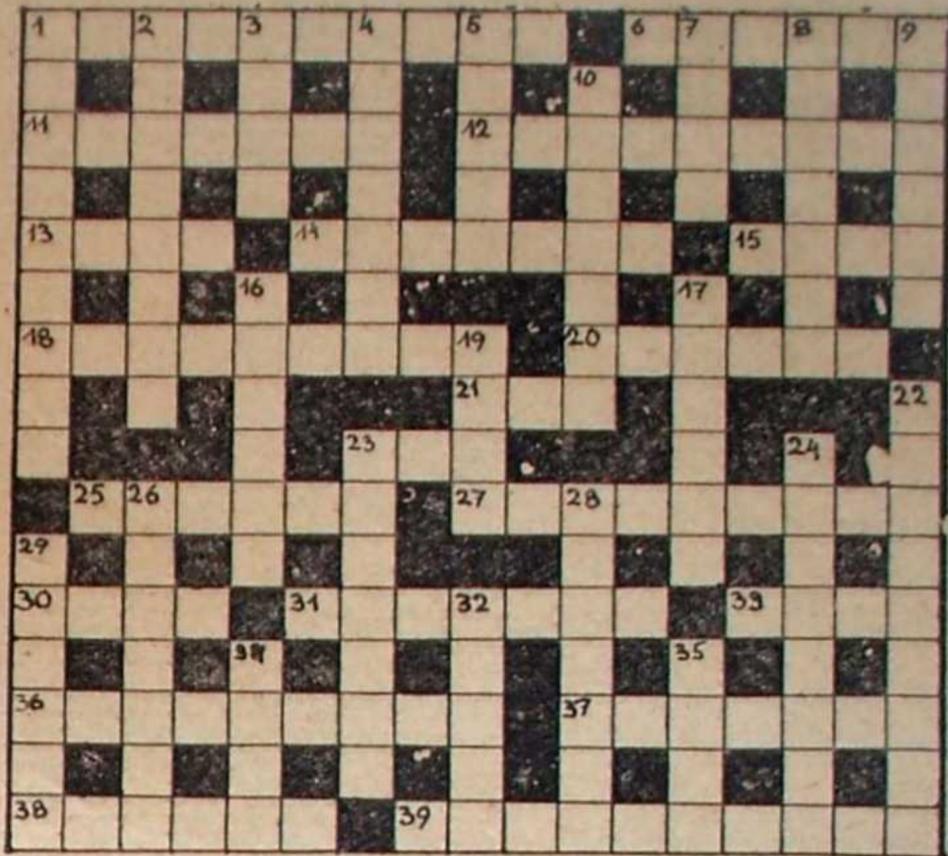
Pionowo: 1. wzajemne ustępstwa, 2. kierowanie się w działaniu wiedzą i doświadczeniem, 3. linia Zola, 4. elektryczna głowka gramofonu, 5. handel drobny, 7. handel dzielnymi ilościami, 8. noś do torowania drogi w dżungli, 9. kolorowy w mekaim stroju, 10. dobry pomysł, 16. blizna, 17. historyk i polemista Polski w okresie Odrodzenia, 18. rzymski Eros, 22. płyn w prosektorium, 23. czeski długodystansowiec, 24. zdobywca gola, 26. przewrót rewolucyjny, 28. znak muzyczny polecający przedłużenie nuty, 29. nagroda, 32. grupa zwierząt, 34. pustynia w środkowej Azji, 35. dyscyplina lekkoatletyczna.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z Nr 1
Poziomo: dystans, maskarada, Makuzynski, Muszyna, Jean, szakal, asonans, Orzeszkowa, kalendar, Węgierko, Kraszewski, parodia, raport, dudy, solowka, Maciejewski, Krasński, Awinion.

Pionowo: Domejko, szklarz, ansa, szyszak, Myszków, Szmia, Arystofanes, attyka, alians, Ossendowski, nieuk, rzęsa, olok, Akra, Rapaeki, skrzela, Szajski, Irydion, Pasłek, rolada, Aramis, Komi.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 1 bony książkowe wartości 40 zł każdy wylosowali:



Edward Gasiór, Tarnów, ul. Skowronków 1 m. 18; Artur Ziółkowski, Bydgoszcz, ul. Spokojna 3 bl. 1 m. 41; Janina Nowacka,

Lopiennik Górny, Olszanka, Szkoła Podstawowa, Maria Karasińska, Kraków, ul. 28 Listopada 41 B m. 26.

KORZYSTAJ ZE SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ

PDT „Sezam“

w Lublinie

wysyła za zaliczeniem pocztowym wszelkie towary znajdujące się aktualnie w sprzedaży do 25 kg wagi.

Oplata za przesyłkę wartości do 1500 zł wynosi 25 zł. Przesyłki wartości powyżej 1500 zł przesyłane są bez opłaty.

Bezpośrednie zamówienia przyjmują wszystkie stoiska PDT „SEZAM” w Lublinie, a listowne prosimy kierować pod adresem:

POWSZECHNY DOM TOWAROWY „SEZAM”,
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 40, 20-950 LUBLIN.

ZYCZYMY UDANYCH I PRZYJEMNYCH ZAKUPÓW.

428/K

listy do kamieni

„TRADYCJE”

Z wielkim zainteresowaniem przeczytaliśmy „Kamienie” (nr 1 z br.) artykuł pt. „Tradycje”. Omówiono w nim skróto historię literatury na Lubelszczyźnie oraz przedstawiono sylwetki ludzi, którzy ją tworzyli i mają zasługi w tej dziedzinie. Zdaje sobie dokładnie sprawę, że w tak krótkiej publikacji nie można wszystkiego powiedzieć ze szczegółami — o wszystkim i o każdym, ale wątpliwości we mnie budzi pominięcie pewnego zastutonego — mniej czy więcej — dla Lubelszczyzny człowieka. Chodzi mi o niezwykłego już od 15 lat Józefa Nikodema Kłosowskiego, który pochodził z Krasnegostawu.

Wiem, że całe swoje ciężkie i niedugłe życie poświęcił on dla dobra społeczeństwa lubelskiego, pracując m. in. jako nauczyciel w różnych szkołach. Wiele pomógł młodzieży wiejskiej w okresie międzywojennym. Parzył się też literaturą, jeszcze przed II wojną światową wydał kilka książek, np.

„Tańcząc karczem” i „Uroczysko”. W czasie okupacji „Uroczysko” był redaktorem prasy BCH. Wydał „Chłopski Znak”, „Wyzwolenie”, a dla dzieci — „Kukulkę”. Z jego inicjatywy powstała grupa pisarzy chłopskich pod nazwą „Wies tworząca”, która skupiała się przy wydawanym przez niego czasopiśmie „Wies tworząca”.

Po wyzwoleniu mimo słabnącego zdro a rzucił się w wir pracy społecznej, związanej z odbudową oświaty, kultury i literatury. Pełnił funkcję w ZLP, kierował Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Poza tym nadal pisał, chcąc uwiecznić walkę BCH z najeźdźcą hitlerowskim. Wydał powieść dokumentalną „Jazmo”, w której przedstawił walkę BCH, opublikował jeszcze kilka innych książek, jak „Mgła”, „Ziemia bez skóry”. Nie do mnie należy ocena wartości literackich tych książek i twórczości Kłosowskiego, zrobią to ludzie do tego powołani. Uważam, że życie tego człowieka i jego działalność zasługują na większą uwagę. Trzeba poświęcić nieco czasu i miejsca na łamach prasy dla takich ludzi, szczególnie w okresie obchodów 30-lecia Polski Ludowej.

Jan Wróbel
Susiec

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Bogdan Madej, Zygmunt Maikowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny Irena Komosa, korektor — Ewa Bybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur — prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 13, 00-246 Warszawa, konto PKO 1-6-160024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN, Unicka 4. Zam. 226 25.1. 74 E-4.

Numer łamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisław Wielgusa.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35. Nr indeksu 36-608.

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-03, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Chcesz terminowo otrzymywać „KAMENIE” zamów prenumeratę

falsetem

Teatr nieoswojony

NIE wiem już, czy to Kazimierz Braun spotkał się z Ireną Dziedzic, czy Irena Dziedzic z Kazimierzem Braunem. W każdym razie w telewizyjnym „Tele-echu” wystąpił 27 stycznia br. dyrektor Teatru im. K. Brauna, przeproszam — imienia Juliusza Osterwy i powiedział tak:

„Istotnie nowy teatr staram się wprowadzać do teatru państwowego, do instytucji teatralnej. I właśnie w ten sposób żeby wprowadzić go od wewnątrz, żeby nie niszczyć struktury, substancji tej instytucji, ale ją zmieniać, żeby nie zaprzeczając dotychczasowych osiągnięć czy doświadczeń, ale je mnożyć, żeby nie odcinać się od publiczności, ale stawić przed publicznością nowe zadania, nowe zjawiska, nowe fakty artystyczne. Właśnie w teatrze zawodowym, a nie obok niego czy przeciwko niemu. [...] My sięgamy do czegoś, co było najwcześniej, jest, mianowicie do pewnych form przedteatralnych, czy parateatralnych [...]”

do teatru nieoswojonego, do pewnych urządzeń, rytuałów, światła, do parateatralnych zjawisk z dziedziny teatru, bytowania szerokiego grona społecznego, i potężne takie pojmowanie teatru, w oparciu o bardzo dawne doświadczenia, a jednocześnie zatem działań nowego, odczuwam sam i widzę ją, słyszę ją wśród ludzi teatru i wśród ludzi skupionych wokół teatru, a więc na widowni. [...] Moje doświadczenia są oparte o praktykę. Mnie interesują ci ludzie, którzy przychodzą do teatru, czy to będzie student uniwersytetu czy robotnik, czy nauczyciel i grupa jego uczniów z małej miejscowości pod Lublinem [...] czy nauczycielka i jej uczniowie z liceum w Lublinie. W uprawianiu teatru widzę szansę, aby tym ludziom dopomóc żyć pełniej, co może oznaczać też szczęśliwiej. Teatr może im dopomóc siebie samych kształtować, swoje życie bardziej twórczo, bardziej odpowiedzialnie, a równocześnie — ustanawiać między ludźmi jako nadrzędny porządek rozumienia, braterstwa, przyjaźni. Staram się odpowiadać, uprawiając teatr, na te potrzeby, a równocześnie są to moje bardzo osobiste potrzeby.”

Ja, mnie, sobie, sobą, o sobie... Wysłuchawczy (z uwagą) Kazimierza Brauna można by sądzić, że właśnie w Lublinie dzięki łd. mamy najlepszy teatr w świecie. Dziwne tylko, że niektóre spektakle trzeba odwoływać (choć tzw. organizatorowi widowni pensja rośnie) z tej prostej przyczyny, że nie ma na nich widzów.

Kazimierz Braun chwalił się przed Ireną Dziedzic i całą telewizyjną Polską, że ma świetne kontakty z klasą robotniczą, że środowiskiem szkolnym. Ze właśnie w szkole odbyła się premiera „Niemców” Kruczkowskiego. Gwoli uczciwości chciałbym zapytać, ile było tych przedstawień „Niemców” w szkołach lubelskich? Sześć czy siedem?

A kontakt z klasą robotniczą? 10-minutowe spotkania aktorów z pracownikami PSC w czasie... przerwy śniadaniowej? Nie bardzo wierzę, abym jedząc bułkę z kiebasą i popijając kawą mógł się zachwycać pięknem słowa.

Scena inlektu, o której również mówił Kazimierz Braun, jest zwykłym nieporozumieniem i, bądźmy szczerzy, kosztuje piekielnie wiele państwowych pieniędzy. Panie dyrektorze, ile pan płaci dziennie za apartament dla dwóch zagranicznych aktorów, mających wystąpić (?) w „Arce”? A co aktorzy lubelscy mają zamiar na tej scenie pokazać? Należałoby zacząć od innego pytania: kto zasiega ich opinii w tej materii?

Nie byliśmy zachwyceni ostatnio Starą kobietą, która wysiaduje. Oczywiście można by sądzić, że Lublin nie dorósł. Ale, niestety, Warszawa również. Cytuję Andrzeja Hausbrandta („Express Wieczorny” z 28 stycznia br):

W przedstawieniu Teatru im. J. Osterwy z Lublina Stara kobieta wysiaduje zestaw kompleksów seksualnych. Każde niemal zbliżenie kończy się między bohaterami serią ruchów określanych w podrecznikach dr. Kazimierza Imielińskiego mianem frykcyjnych. Słowem skofarżenia są wyraźnie jednokierunkowe. Wiczy dramatyczne sztuki poszarpano, wszystko zmieniło się w okrutną zabawę. Zabawę zdemoralizowanych, perwersyjnych dzieci w dorosłych...”

Proszę uprzejmie porównać ten cytat z wypowiedzią dyr. Brauna („nadrzędny porządek rozumienia, braterstwa, przyjaźni”).

W znanej bajce Andersena dopiero dziecko odważyło się powiedzieć, że król jest nagi.

W Lublinie chyba nie ma dzieci. Wszyscy jesteśmy dorośli. Czyli po prostu kłowo. A bując to nie nas.

Nieoswojony MAJ



Rys. A. Stok

minuta myślenia

Nowa „Nora”

PO POLTORAROCZNYM okresie niepewności zostały otwarte drzwi do „Nory”. Lubelski świat artystyczny będzie miał gdzie spędzać wolne chwile. Te zresztą niepełnie prywatne, bo pomyslane pod kątem okoliczności sprzyjających integracji środowiska. Nie mówimy zresztą o integracji. Po tylu latach deklinowania tego rzeczownika owa integracja na ile to możliwe stała się faktem, ponadto nie o nią samą chodzi, bo cóż z tego, że plastyk X i aktor Y zawrą jeszcze jedną towarzyską znajomość. Chodzi o ewentualnie wynikający z tego kulturalny rezultat, a ten niekoniecznie musi zależeć od ilości w danym środowisku funkcjonujących bruderszafów. Chociaż — czasem zależy.

A więc „Nora” to miejsce, gdzie można wdepnąć, lyknać kefiru, zamienić parę zdań. Nawet ujrzyć trochę wystawionych obrazów. Fakt, że tego przez długi czas nie było, nie najlepiej świadczył o naszym mieście. Dlaczego? Weźmy pod uwagę, że taki lokalik spełnia dość poważną rolę dla gości z innych miast. Przyjeżdża na przykład dziennikarz. Co

robi? Przede wszystkim szuka miejsca, gdzie mógłby złożyć coś w rodzaju bazy informacji na tych parę dni, które naszemu miastu przeznaczył. A więc przez całe półtora roku był w prawie się dźwić: „to u was nie ma gdzie pogadać”. Czyli — Zjednoczenie Przemysłu Mleczarskiego, Wojewódzki Dom Kultury plus kilka innych placówek dobrej woli, które przyczyniły się do odrestaurowania lokalu przy ul. Krak. Przedmieście 22 — mają pewien udział w tworzeniu warunków dla lubelskiej kultury rozwojowej.

(Dygresja dla miłośników Lublina, historii i gastronomii: warto by ustalić nazwę restauracji, która w tym miejscu istniała przed wojną; wiemy, że były palmy i basen, natomiast co do nazwy to nawet tak dokładny w relacjach Konrad Bielski podaje raz „Pod strzechą”, a raz „Strzechą polską”).

Co jednak można zauważyć na temat potrzebnej placówki po paru tygodniach nowego okresu jej istnienia? Można zauważyć brak zdecydowania. Przychodzi się raczej na przeszeplię, z ciekawości, niż dla wyraźnego celu. Z tym lanternem nie bardzo wiedzą co mają zrobić sami gospodarze, nie bardzo — naliczni jak dotychczas goście. Oczywiście nie wygląda na to, by ten stan utrzymał się a la longue, ponieważ zbyt wielkie nadzieje zaczęły się z nowo otwartą placówką, ale warto niebezpieczeństwo zasygnalizować z pewnością. W każdym razie nie wolno jest raz przegrać szansy międzystosowarszawianych kontaktów, jaka kiedyś przekształciła się w dość chaotyczną sposobność kontaktów zbyt szerokich.

W odnowionej „Norce” panuje jakiś tonik zdawkowej elegancji. Może w zamierzonym kontraście wobec „Nory” dawniej, gdzie zdarzał się nie zawsze pożądany nadmiar swobody, może przez zaskoczenie wyposażeniem wnętrza rzeczywiście o dość wysokim standardzie. Fakt jest jed-

nak niezaprzeczalny: dające się odczuć skrepowanie. Chyba i rygor porządkowy zadziałał na rzecz powstania takiej atmosfery. Bo jeśli na przykład w dolnej sali niczego do przegryzienia ani do przelknięcia nie można otrzymać, siłą rzeczy powstaje przekonanie, że jedzenie i picie są tu dalej podejrzane, że na te zajęcia istnieje wydzielony rezerwat w postaci sali górnej. Nie wiem. Zdarzyło mi się tam być. Jakoś nie mogłem pozbyć się wrażenia, że nie potrafią koleździ i sobie posłużyć lampką wina przez ręce samego przyniesioną na salę dolną. Ze taki sad o mnie posiadają gospodarze.

Są to jednak utyskiwania wynikające z zyczliwości i niewątpliwie wkrótce utracą swój przedmiot. Nie znam programu Klubu, ale z pewnością znajdują się tam i ciekawe odczyty, i spotkania z nie mniej ciekawymi ludźmi i dyskusje i koncerty, a nawet wieczorki towarzyskie. Przypuszczam jednak, że fakt istnienia jednego miejsca przyczyni się również do powstania inlektu w sposób, którego nie przed wszystkim w oparciu o taką bazę materialną: np. jakiegoś kabaretu. Nie wykluczone, że z czasem sam duch „Nory” stanie się impulsem do zrealizowania podobnej myśli, jako że tak ukonstytuowane miejsce ma wszelkie dane obrósnąć własną anegdotą.

Na koniec warto chyba pomyśleć o zmianie nazwy. „Nora” jest nieaktualna. Nie dlatego, że mało nobliwa, ale traci uzasadnienie aluzją do pewnego rodzaju cyganerii i bohemii pomyslanej w innych warunkach organizacyjnych i środowiskowych. A jakis huśceć sensacji związany z konkursem na nową nazwę nie będzie do pogardzenia dla nadania nowej placówce nowej atrakcyjności.

Ijon

Witold Zechenter

FRASZKI

SZCZĘSCIE

Biegamy zadyszani, we wrzawie i chrzęście, szukamy i pragniemy, wśród spalin i dymu, tęsknimy... Lecz czy można znaleźć zwykłe szczęście? Oczywiście, że można! W tej fraszce! Do rytmu...

KOLEJNOSC

Naprzód się pragnie przygód, potem się szuka wygód...

Z GOŁĄ GŁOWĄ

Mamy obyczaj nowy, że się w mróz chodzi bez nakrycia głowy. Widać ten i ów jest zdania, że nie ma czego w swej głowie ochraniać.

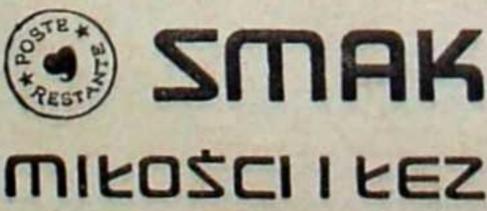
NIESTETY

Często pieśniarze zlecenie: „Nućcie!” pojmują jako życzenie: „Nudźcie!”

ZAMIANA

Krakowiaczek jeden miał koników siedem — zamienił je, jak głosi wieść, na Fiata 126!

MARTINA WSZYTKOWA



Nasza powieść, drukowana w autohomicznej rubryce „Poste Restante”, zaczyna nadążać za współczesnością. Autorka, zachęcona lekturą 8/3 numeru „Literatury na świecie”, doszła do wniosku, że Polacy nie ksi... Jeśli wolno zresztą Starej kobiecie, która wysiaduje, to co mają mówić młodzi, u których krew kipie, tudzież wro. Dziewczeta i chłopcy! Czytajcie ten odcinek z zamkniętymi oczyma

(34)

Szczecin powitał ich piękną, słoneczną pogodą. Zjedli śniadanie w barze mlecznym, a potem zajrzeli do hotelu „Plast”. Locum mieli zarezerwowane dopiero od godziny popołudniowych, ale recepcjonistka była nadzwyczaj uprzejma.

— Mam akurat wolny pokój, państwo po podróży, mogą więc zrobić wyjątek. Proszę wypełnić karty meldunkowe. Usiedli przy stoliku.

— Zamawiałam pokój dwuosobowy? — spytał Mariusz.

— Zamówiłam dwa miejsca. Nie ma chyba o co kruszyć kopyt. Wolę zresztą spać z tobą niż z jakąś obcą osobą.

— Bo wiesz, że ci nie ukradną brylantów. — Wypadło to głupio. Mariusz szybko zmienił temat rozmowy. — Tak mam ochotę na przysm...

— Chyba nie nie stoi na przeszkodzie. To nowy hotel, zapewne z wygodami.

Recepcjonistka spojrzała na karty meldunkowe i poprosiła o uzupełnienie: chodziło jej o wpisanie miejsca pracy. Następnie wręczyła klucz.

Pokój był widny. Zuzanna szybko zapuściła zastawę. Potem jak stała rzuciła się na łóżko.

— Wiesz — powiedziała — ty sobie weź przysnie, a ja się godzinę prześpię. Potwornie jestem zmęczona po tej podróży.

Woda orzeźwiła Mariusza. Ogarnął go napły przytępszonej energii.

— Zuzanna, śpisz? — szepnęła zamykając drzwi od łazienki.

Nie odpowiedziała. Podszedł, chcąc przykryć ją kocem. Wówczas ona zarzuciła mu rękę na szyję.

— Pocałuj, mocno pocałuj! — Podala mu usta, a właściwie wpiła się ustami w jego usta. Mariusz nie mógł utrzymać równowagi i całym ciężarem ciała zwałił się na Zuzannę. Krew pulsowała mu w skroniach, nie panował już nad sobą i nerwowo zaczął rozpinać bluzkę dziewczyny. Pod ręką poczuł okrągłość jej piersi.

— Mariuszu, skarbie mój, co robisz? Mariuszu! Naprawdę chcesz tego? Poczekał, pognieciłeś mi spódnice! — Odcignęła zamek błyskawiczny i po chwili przywarła do niego całkiem naga.

Świat zawtrował mu przed oczyma. Stanowił teraz jedność. Jej paznokcie ułożyły się w jego plecy.

Trwało to minuty, albo całą wieczność. Nie myślał o niczym, chciał te chwile przedłużyć w nieskończoność.

— Basiu, Basieńko — wyrzucił z siebie i ona nagle zniechęciła a potem z całej siły uderzyła go w twarz. Zerwała się z łóżka, przykryła spódnicą i zniknęła w łazience. Usłyszał trzask zasuwanego zamka.

Zorientował się, że nieświadomie strzelił straszną gąf. Jak mógł w takim momencie popętnić tę okropną pomyłkę? Cóż za zaćmienie umysłu!

Podbiegł do drzwi.

— Zuzia otwórz!

Cisza.

— Zuzia, otwórz. Bardzo cię proszę.

Teraz ciszę przetrwało tkanie.

— Zuzia, ja cię naprawdę przeproszam. Ja tego nie chciałem powiedzieć. Wybac, to naprawdę nie moja wina. Ja tylko z tobą... Z Basią nic mnie nie łączyło.

Poruszył gwałtownie klamkę.

— Zuzia, otwórz, bo narobię takiego łomotu, że cały hotel tu przybiegnie.

Stała u drzwiach już ubrana, ale z policzkami mokrymi od łez. Chciał ją wziąć w ramiona, ale odepchnęła go od siebie.

— Nie dotykaj mnie! Jesteś wstrętny, wstrętny! Nigdy nie przypuszczałam, że może mnie spotkać taka przykrość. Przecież widział, że ja z tobą pierowszy raz...

Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłońach. Podbiegł do niej, ukleknął i zaczął jej kolana obsypywać pocałunkami. Znowu się wyrwała.

— Nie. Naprawdę teraz już nie. Wszystko między nami skończono.

I wtedy Mariusz wypowiedział słowa, które w innej sytuacji by nie padły.

— Skończono jest, ale między mną a Basią.

Spojrzała na niego dużymi oczyma.

— Kłamiesz!

— Nie, to prawda. — I zaczął mówić o tym, co usłyszał od Krzysztofa. Chaotycznie, nerwowo, ale szczerze. Niczego nie pominał.

Gdy skończył, Zuzanna przez chwilę milczała. Potem zapytała:

— Więcej jej nie zobaczysz?

— Nie wiem. Muszę przecież zdobyć z powrotem swoje pieniądze.

— Oddaj sprawę w ręce adwokata. W czym tylko będę mogła ci pomóc, pomogę. Mój ty, biedaku.

I znów przytuliła się do niego gwałtownie. A on czuł, że nie jest to chwilowe oszołomienie, zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna stała mu się teraz bliska, jak nigdy na świecie.

— Mariuszu, a co się stanie, gdy zajdę w ciążę... Chociaż ja się tego wcale nie boję. To będzie przecież moje dziecko.

— Nasze — poprawił ją. (dca)